

KORNEL MAKUSZYŃSKI

KRÓL AZIS

BIBLIOTEKA TYGODNIKA ILUSTROWANEGO

TOM LII

Niezmiernie był znużony król Azis, kiedy się o północy zwał z łoża, usnąć nie mogąc.

Nie wiedział, czy to niepokój gorącej, żarem drgającej nocy krew w nim burzy, czy też wspomnienie zabawy przedwieczornej sen z oczu mu spędza. Kiedy słońce stanęło nad cyprysowym gajem, którego szczyty znaczyły kres dnia, wtedy odetchnęła ziemia, jakby się z jej piersi stoczyła ciężka słoneczna kula i wtedy wszystko ogarnęła dobra, łaskawa cisza, niepokój kojąca. W takiej chwili nie uczyni krzywdy jedno stworzenie drugiemu, a zbrodniarz ukryje lekliwie w zanadrzu nóż, którego dobędzie nocą. A oto król Azis, ujrawszy w taką smutną, przedziwnie cichą chwilę dumne łabędzie, płynące jak białe łodzie po sadzawce, ujętej w marmurowe kolisko, zapragnął usłyszeć śpiew konających ptaków. Kazał przynieść łuk, strzałę, zdobną w tęczę piór, na cięciwie położył i czekał, aż się ptaki wspaniałe piersią zwróca ku niemu. Siedm łabędzi płynęło do jego stóp. Nagle się rzucił ten, który płynął pierwszy, wyciągnął szyję, uderzył obciętymi skrzydłami o wodę i bluznął krwią. Król Azis na łuku się oparł i słuchał chciwie. Ptak umierał na zabarwionej krwią fali cicho, bez głosu, przerażonemi tylko skarżąc się oczyma.

Zmarszczył brwi wspaniały król Azis; widać było, że od nadmiernego gniewu drżała mu ręka, kiedy od klęczącego u stóp jego niewolnika brał strzałę drugą. Już mu spędzono w pobliże przerażone i rozpierchłe łabędzie, przeto bez trudu mierzył w śnieżyste piersi. Siedm zabił ptaków i nie usłyszał ich głosu.

— Czemu nie śpiewały te ptaki, umierając? — zapytał nagle król Azis człowieka, który stał za nim w postawie pokornej, chociaż miał na sobie płaszcz, przetykany złotem i łańcuch wspaniały na piersi.

Człowiek ten, ujrawszy obrócone na siebie oczy Pana, ukląkł i odrzekł prawie szeptem:

— Ginęły zbyt szybko, o Panie! Nie zaznały męki...

Wtedy mu król Azis w oczy spojrzął i rzekł:

— Kiedy mi się spodoba, zginiesz i ty, ale nie będziesz umierał szybko...

Człowiek ten na twarz upadł i jęczał.

Teraz kiedy się z łoża wśród dusznej nocy zwał król Azis, z niechęcią przypomniał sobie zabawę przedwieczorną, zrozumiawszy, że nie była to igraszka królewska.

Głowę miał pełną szumów; to żar leniwej nocy krew w nim wzburzył i gnał ją po żyłach, nadmiernie tętniących. Król Azis wyszedł na szerokie, marmurowe schody, pełzające u stóp wspaniałych kolumn, stojących na straży pałacu. Wsparł się o jedną z nich i spojrzął w dyszącą ciężko, parną noc letnią.

Poza ogrodami, poza nieprzeniknionym murem cyprysów, widzialne tylko przez wylom uczyniony w nim do użytku łaskawych oczu królewskich, spało niespokojnym snem białe miasto, rozległe i pyszne. Znużone gwarem dnia, który skonał z wieńcem na słonecznym czole, jak biesiadnik, ginący od nadmiaru rozkoszy, upojone potęgą swoją jak wspaniały zwierz pustynny, którego poi zapach krwi, śmiertelnie strudzone krzykiem i wrzawą na cześć swego żywota, chodzącego w blasku słońca — legło to białe, marmurem błyskające miasto na złotym, sypkim piasku morskiego wybrzeża, aby odpocząć wśród nocy i ochłodzić się wiatrem, który morze wysyłało noc w noc na wytchnienie panom swoim. Dziś jednak parna noc położyła swoje długie, z nieprzejrzystego cienia uczynione ręce, na morze i uciszyła wszystkie wiatry i wszystkie powiewy, z oddalonych lecące brzegów, więc się białe, pyszne miasto męczyło, jak człowiek, który zapadł w gorączkowy sen i sennym, omdlałym ruchem rąk stara się zmoreć, gniotącą mu piersi, stracić i zdławić. Ogrody dyszały ciężką, zabijającą wonią róż, omdlały bluszcze, zwisłszy bezwładnie, cyprysy stały bez szmeru.

Król Azis spojrział z nienawistną pogardą na śpiące miasto, które omdlało na morskim brzegu, jak spragniony wędrowiec, co padł bezsilny i strawiony pragnieniem, zanim zdołał ręce wyciągnąć ku fali. Brwi ściągnął wspaniały król Azis i począł schodzić przez marmurowe, szerokie schody ku ogrodom, które zalała noc, tak, że tylko wierzchy najwyższych cyprysów odcinały się ledwie widocznym zarysem na granatowym tle nieba, wydobywszy się z nocnej toni, co wszystko poniżej zatopiła, jak powódź. Znużona całodziennym wrzaskiem cisza spała w gąszczu; spłoszony ptak niechętnie, ciężko w ciemności bijąc skrzydłami, przeleciał tuż przed twarzą królewską.

Nagle, od strony, gdzie stały fontanny, ozwał się chrapliwy, zduszony, na poły senny głos:

“Strzeżcie króla Azisa!”

A za chwilę, gdzieś daleko, z pod palm odbrzmiał mu inny, wołający:

“Uszanujcie sen królewski!”

To strażę króla Azisa nawoływały się wzajemnie.

Król Azis stąpił cicho po żwirze ogrodowej alei, wytyczonej białymi widmami posągów; siedł ku fontanom, gdzie czuwał strażnik, zbrojny w włócznię. Ujrzał go po chwili, wypatrując pilnie: strażnik włócznię wbił w ziemię, a sam ułożył głowę na chłodnej tarczy; od czasu do czasu tylko opierał się na rękę i przez sen wołał:

“Strzeżcie króla Azisa!”

Podszedł ku niemu król i pochylił się nad sennym: dotknął go ręką, budząc.

Strażnik zerwał się z ziemi, włócznię pochwycił i zamierzył się na króla.

— Kto jesteś? — krzyknął.

— Milcz! — szepnął król Azis — ogród słyszy...

— Czego chcesz?

Strażnik, ostrze włóczni kierując w piersi Azisa, wpatrywał się w chmurną twarz królewska, lecz jej nie poznał. Rzekł cicho:

— Czego szukasz w królewskich ogrodach?

— Króla! — szepnął przenikliwie król Azis i palec porozumiewawczo położył na ustach.

— Króla?!...

— Mów ciszej... Jego szukam... Czy nie wiesz, postanowiono, aby wybiła jego ostatnia godzina?

— Boże! — rzęził strażnik.

— Ja mam sprawić, aby nie ujrzał wschodzącego słońca. Mówię ci to, abyś krzykiem nie zbudził pałacu... Tu jest dla ciebie złota moneta z głową króla Azisa...

— Wolałbym głowę króla Azisa bez złotej monety... Panie! — szeptał strażnik — muszę wywołać hasło. Nie trwóż się!

Odstąpił i chrapliwym głosem zawołał:

— “Strzeżcie króla Azisa!”

— “Uszanujcie sen królewski!” — wołało w dali posłuszne echo.

Król Azis uśmiechnął się dziwnie w ciemności.

— Dobrze sprawiasz służbę — rzekł — oto masz jeszcze jedną sztukę złota... Miłujesz króla?

— Niech go stoczy robactwo! — odpowiedział strażnik. — Twoje ręce będą błogosławione... Tylko niech ci dłoń nie zadrży, abyś mógł uderzyć wprost w serce... Tędy idź!... Mieli go zabić wczoraj, pewnie wiesz o tem, jeśli dziś przychodzisz ze sztyletem...

— Wiem! Nie zabili go, gdyż czuwał przez całą noc...

— Tak! — rzekł strażnik — czemu drżysz?... czytał księgi i pieścił panterę, która jak pies chodzi za nim... Dzień jeden jeszcze oglądał słońce, oby go już nie ujrzał jutro!... Tędy idź!... Na marmurowych schodach czuwa niewolnik... Znajdziesz łatwo czarna gardziel... Stąpaj ostrożnie... Niech ci Bóg pomaga! Jutro całować będą twoje ręce, ja i wszyscy ze mną... Jak się nazywasz?

— Na co ci moje imię? Jeśli mi się uda, wszystkie ulice będą jutro śpiewały moje imię i morze będzie wołać je rykiem fal... A jeśli mi się nie uda, niebezpiecznie jest słudze królewskiemu znać imię mordercy...

— Chwała ci, jakkolwiek się zowiesz... Idź przed siebie! Będę wołał głośno: “Strzeżcie króla Azisa” aby zagłuszyć kroki twe na żwirze... Szukaj starannie serca, bo może go nie ma król Azis! — (“Strzeżcie króla Azisa!”) — A potem wołaj głośno, a ja zbudzę miasto... Serca szukaj i nie wyjmuj zeń noża... Cicho! Dźwięk jakiś... (“Strzeżcie króla Azisa”)... od strony pałacu... Ukryj się, panie... Jakby ktoś uderzał po ziemi łańcuchem... (“Strzeżcie króla Azisa”)... Czemu nie pełzasz w gąszcz? Prędeż, na Boga, prędeż!... Będziesz zgubiony ty i ja, jeśli kto ujrzy... Co to?

Słychać było brzęk ogniw łańcucha, uderzających gwałtownie o siebie; szedł głos od strony marmurowych schodów, szarzejących w oddali.

Król Azis nie poruszył się z miejsca.

— Uciekaj! — krzyknął stłumionym głosem strażnik.

Zaśmiał się nagle złym śmiechem król Azis, ujrawszy twarz strażnika. Oto z gąszczu wybiegła bez szelestu pantera królewska, wlokąc za sobą złocony łańcuch i, przypadwszy do królewskich nóg, ocierać się o nie poczęła, pieszcząc się dziwnie. W tej chwili zaszyły bielmem oczy strażnika i błysły w ciemności jak szklane oczy trupie. Nieludzkie, obłąkane przerażenie wykrzywiło mu usta; poznał króla i oszalał. Włócznia z rąk mu wypadła: nagle począł uciekać, jakgdyby śmierć zobaczył i jakimś śmiertelnym rżeniem wołał na cały głos bezustannie: “Strzeżcie króla Azisa!”

Król Azis nie spojrzał nawet w tę stronę, albowiem musiał uspokajać panterę, która wygięła się w kabłąk i zmrużyła oczy. Za obrożę chwycił król Azis i, wiodąc zwierzę, powolnym krokiem poszedł alejami w stronę pałacu. Spał marmurowy dom, owinąwszy się szczelnie w płaszcz mroku: gdzieś w dali wzdychać już poczęło senne morze, jakby błagając zmiłowania i słońca.

Król Azis wszedł do komnat. Panterę u drzwi uwiązał na złoconym łańcuchu, a sam wszedł do sali, pełnej przejrzystego mroku, gdyż w jednym jej rogu błyskała mdłym światłem lampa. Blask padł na twarz króla Azisa. Gorzały w niej oczy złym błyskiem, oczy dziwnie czarne, jakby dwa ognie wprawione w twarz z wosku. Król Azis miał twarz zmiętą i niezmiernie znużoną, jakby żółta; gdyby niesamowicie świecące oczy powiekami zakrył, byłby raczej podobny do trupa. Straszny uśmiech błąkał się po znużonej twarzy, uśmiech, co spływał z oczu i biegł ku ustom, zaciętym groźnie, bladym i bezkrwistym. W twarzy królewskiej nie było krwi.

Ręce mu drżały, kiedy ująwszy złote szczypce, objaśniał włókno lampy; dreszcz po nim przebiegł, gdyż nagle poczuł zimno. Owinął się płaszczem i usiadł na rzeźbionym krześle, patrząc czarnymi oczyma w światło. Czoło zmarszczył król Azis — widocznie myśli jego były

złe, jak błyskawica. I czy to blade światło lampy na twarz mu padło, czy też blask oczu, gdyż twarz króla Azisa stała się w jednej chwili jakby mniejsza, jakby ją ostremi palcami schwycił kurcz i ściągnął, tak, że ból wyraźnie spłynął po niej. Król na rękę się oparł i znieruchomiał. Nie odwracał oczu od światła i myślał. A ból coraz to powracał, wijąc się po twarzy; jakby odstraszonego dziwnym błyskiem oczu, innego szukał wejścia do mózgu; dopadł ust i rozchylił szponem usta, gdyż drgnęły nagle.

“Uszanujcie sen królewski” — poleciało stłumionym wołaniem po śpiących ogrodach. Wstrząsnął się król Azis.

Począł oddychać ciężko, świszczącym, szybkim oddechem, jak człowiek w gorączce; od czasu do czasu ręce podniósł do skroni i skronie mocno ścisnął. Wtedy się w ogromnej sali o marmurowe kolumny rozbijał jęk królewskich piersi, którego nikt słyszeć nie śmiał, chyba marmury.

Zdarzyło się raz bowiem, że niewolnik (któremu lepiej było, aby się był nie rodził) ujrzał dwie łzy, toczące się po żółkłej twarzy króla Azisa; człowiek ten musiał zginąć, zanim miał czas zdumieć się, że płakał król Azis. A raz było tak, że .wspaniała król usnął, ułożywszy głowę na różanych piersiach cudnej Zoe, przywiezionej z wysp, przy których łowiono perły i podczas snu jęknął tak głęboko, jakgdyby mu kto w dłoniach ścisnął serce. Nieszczęsna spytała króla, kiedy się obudził, jaka go trapiła męka, że jęknął tak, jakby płakał krwią; za to, że słyszała przerażony jęk króla Azisa, utopiono ją w morzu po zachodzie słońca.

Marmurowe kolumny słyszały tedy same tylko jęk królewski. Król Azis siedział wciąż nieruchomy, jakgdyby go napadła śmiertelna niemoc, patrzył tylko przeraźliwym wzrokiem przed siebie, w pustkę, w rzeczy jakieś tajemne i złe, w mgłę świetlistą, która jak opar wzniosła się nad lampę i przędła może widziadła bez ciała dla królewskich oczu. Wzdrygnął się nagle król Azis.

Oto drgający płomień lampy, w której oliwa przesycona była pachnidłem, aby nawet światło woń siało przed królem Azisem — malował cienie na ścianie, żywe i ruszające się niespokojnie. Igraszką złośliwa były te cienie dla królewskich oczu, bo się nagle wzdrygnął król Azis, ujrawszy, jak uczyniony z mgławego cienia olbrzymi skorpion począł pełzać po marmurze. Król Azis twarz wykrzywił w śmiertelnym lęku i ręką zakrył oczy, mimo tego jednakże skorpion przed oczyma mu pełzał. Dni temu niewiele, kiedy oszołomiony ciężkiem, rubinowem, jak żywa krew winem, szedł na spoczynek, aby uciszyć pyszną swą królewską głowę, w której łomotał szum krwi, zmieszany z pożądliwie kuszącymi echemi harfy — i kiedy już miał spocząć na łożu, nagle krew wszystka spłynęła mu w serce, które bić przestało: oto, przyczajony na wezglowiu, drgał skorpion. Krzyknął król Azis i zbiegł do sali, w której

zostawił ucztujących; trwoga zmaćła myśl królewską, a jednak zdumiał się, nie słysząc radosnych okrzyków, ani brzęczącej wrzawy harf: spojrział chyłkiem z poza kotary i zbladł jeszcze bardziej: milczały harfy i przestano lać wino, a biesiadnicy, zgasiwszy połowę pochodni, skupili się przy drzwiach, wiodących do komnat królewskich, bladzi, wyczekujący, z rozchylonemi ustami. Szeptem mówił jeden:

— Zdawało mi się, że krzyknął... I nasłuchiwali jeszcze pilniej.

— Umrze pijany! — mówił inny.

— Niech kona długo! — modlił się człowiek noszący gronostaje.

Król Azis powłókł się z poza kotary, a upadłszy na ziemię, płakał z obłąkanej trwogi; piana toczyła mu się z ust i oczy miał szklane, kiedy się podniósł na pół martwy, lecz straszny. Kazał schwytać skorpjona, włożyć go do złotego kielicha, z którego pił wino przy biesiadzie, a nazajutrz przywołać kazał tego, który drwił, że król Azis umrze pijany.

Stanął przed królem biały od lęku.

Król Azis rękę mu położył na ramieniu i ócz; swoje zatopił w jego oczach przerażonych i zdumionych, że oglądają żywą twarz królewską. Rzekł mu król Azis powoli i głucho:

— Chcę ci łaskę uczynić, abyś wiedział ja bardzo cię miłuję; oto jest złoty kielich, którego dotknęły moje usta, a ty dzisiaj będziesz zeń pił!

Skinął, a czarny olbrzymi niewolnik podał ostrożnie złoty kielich nieszczęśliwemu, potem z ręce go chwycił i przemocą kielich do ust mu przytknął. Obłęd zamglił przerażone oczy tego człowieka, zanim umarł.

— Chcę, byś umierał pijany! — śmiał się król Azis, ale śmiał się tylko oczyma, gdyż żółta jego, znużona twarz była martwa.

Lęk do niej przyrósł, jak larwa i lęk wieczysty, jak czerw mieszkał w zwiędłym sercu króla Azisa.— Teraz go przeraził potworny cień na ścianie, potem szelest u rzeźbionych drzwi. Przerazenie przed nieznaną ręką z mgły i mroku, chodziło za nim krok w krok, jak jego czarna, leniwa, zła pantera, wodzona na złoconym łańcuchu.

O, jak strasznie lękał się król Azis!

Widział, jak padają przed nim na twarz i tego bał się najwięcej.

Słyszał, jak wołają z miłością jego imię i tego bał się śmiertelnie.

Nie znał wroga swego i nie widział jego twarzy, a dziesięćkroć razy wśród dnia i nocy konał powoli z trwogi przed nieznaną twarzą. Naokół króla Azisa była niezmierna pustka, naokół niego i w nim; nie było świata ani morza, ani marmurowego miasta, ani gaju cyprysów, tylko lęk.

Król Azis nie znał kiedyś trwogi; zapisali uczeni niewolnicy, że kiedy król Azis, ryjąc ostrogą boki dzikiego konia, któremu z pyska leciała śnieżysta piana pomieszana z krwią, wpadał w nieprzyjacielskie szyki, najwspanialszy rycerze porzucali miecze i włócznie i uciekali, nie mogąc spojrzeć w oczy króla, krzyczące śmiertelną grozą; i było podobno tak, że na łowach w wirujących piaskach pustyni, płowcy lew opadł bez sił, gotując się do skoku, kiedy go uderzyły dwa pioruny, oczy króla Azisa, któremu nie zadrgała ręka na cięciwie, ani mu nie zadrgała powieka, gdy miecz wzniesiony drżał nad jego królewską głową. Aż przyszedł taki dzień, kiedy na jedną chwilę ustało serce króla i zabrakło mu oddechu na jedno mgnienie oka: chociaż słońce szalało tak, iż zdawało się, że zimne, bezkrwiste marmury rozpali do czerwoności, po królu Azisie przebiegł tego dnia zimny, śmiertelnie zimny dreszcz i oczy na jedno mgnienie powlokła mu nieprzebita ciemność. Zdawało mu się, że ktoś wybiegł z zasadzki, szybszy niż błyskawica i zimnemi rękoma chwycił go za gardło; czuł, że mu włosy podniosły się na głowie i że krew przestała krążyć w żyłach. Było to przerażenie.

Nie śnił król Azis, gdyż, kiedy przeminęła potworna chwila, a on ręce podniósł do skroni, poczuł na nich krople zimnego potu, jaki się ukazuje na skroniach tych ludzi, których już śmierć załękała. Musiał ten lęk okropny zostawić ślad na królewskiej twarzy, gdyż syryjskie tancerki, które nago w tej właśnie chwili tańczyły przed obliczem króla, spojrzały na niego trwożliwie, jak sarny, gotujące się do ucieczki.

Nikt nie wie, skąd przyszedł ten straszny lęk na króla Azisa, ani też król Azis tego nie wiedział; błysnął i zgasł, jak błyskawica, która się rozżarzy i umiera, urodzona w przestworzu; lęk ten śmiertelny powiał jak wicher, który niewiadome skąd przybywa: ukazał się oczom królewskim jak widmo, co z mgły się uprządził, w mgłę się rozplywa. Czego się miał lękać król Azis? Skinął, a świat do stóp mu się walił i łkał i zmiłowania zebrał; brwi zmarszczył, a mury potężnych miast drżały, jakgdyby nawiedziło je trzęsienie ziemi. A przecież się uląkł i nie wiedział czego... Nie znał przyczyny trwogi i to go jeszcze większym napawało lękiem. Dnia tego, kiedy go nienazwany nawiedził strach, powlókł się król Azis na łożo, głowę czerwonym swym płaszczem owinał i tak trwał. Nie śmiał się nikt zbliżyć do królewskiego łoża, więc zdawał się czekać na króla wodzowie i ludzie, wysokie piastujący urzędy, z którymi rozprawiał co wieczora o szczęściu swoich narodów, które zaległy brzeg błękitnego morza, albo mieszkwały na zielonych wyspach, co jak szmaragdy w toń morską zapadły. A król Azis dopiero z nadejściem nocy ukazał się na tarasie, gdzie stali jego ludzie. Ujrzeni przy świetle pochodni jego twarz i zbledli.

Król Azis spojrzał na nich z podełba, szukając w gromadzie jednego, na którego skinął niecierpliwym ruchem, przechodząc mimo i, nie obejrzawszy się, poszedł dalej. Z gromady,

zgiętej w pokornym ukłonie, wysunął się człowiek bardzo stary, cały przyodziany czarno i głowę siwa pochyliwszy, stąpał za królem. Król szedł w ogrodową ustron, daleko od pałacu, gdzie stał pyszny posąg nagiego młodzieńca, napinającego łuk; usiadł na stopniach posągu i podniósł oczy na starego człowieka, który stał przed nim spokojny, choć pokorny. Milczał długo król Azis, potem, rozejrzawszy się pilnie dookoła, rzekł:

— Ty jesteś ten, który mnie uczył czytać księgi?

— Powiedziałeś, królu Azisie!

— I pamiętasz tyle lat, ile ich nikt nie pamięta ani na morskim brzegu, ani na wyspach?

Stary człowiek wzniosł w górę drżące ręce i powiedział:

— Zapomniałem już liczyć lata, albowiem zacząłem już liczyć godziny.

— Powiadają, że jesteś pełny mądrości, jak ul pełen miodu i że znasz tajemnice, od który siwieją włosy i człowiek umiera. Czy znasz tak tajemnice?

Uśmiechnął się łagodnie stary mędrzec.

— Jeśli od nich umiera człowiek, jakżeby ja je miał znać, stojąc przed tobą żywy, królu Azisi

Król Azis zmarszczył czoło, potem spytał cicho.

— Co wiesz o mojej duszy?

Stary człowiek ważył na ustach słowa, ręce następnie rozłożył bezradnie.

— Nikt nie zbadał głębiny morza, panie mój, ani nikt nie widział oczyma serca ziemi — odrze powoli.

— Mówisz czcze słowa i brzmisz pusto jak tarcza, kiedy w nią miecz mój uderzy. Czy to jest twoja mądrość?

Starzec plecy zgiął w kabłąk i mówił drżącym głosem:

— Królu Azisie! Jakże mam znać twoją duszę kiedy nikt jeszcze spojrzeć w nią nie śmiał, jak w słońce? Za lat tysiąc ukaże się twoja dusza na wysokości przenikliwym oczom tych, co rozkopują groby i widzą rzeczy minione. Wtedy oni powiedzą, jak wielką była dusza króla Azisa!

— Jesteś chytry jak człowiek, który pisze księgi, albo jak śmierdzący szakal, co wyje na chwałę księżycy... Zapytam cię tedy o sprawy, które znać musisz, bowiem jeśli ich me znasz, tedy twoje siwe włosy malowane są farbą, aby cześć zyskać, a nie posiwiały dlatego, żeś trudził myśli.

— Pytaj, wielki królu Azisie!

— Odpowiedz mi, czy jest na świecie człowiek szczęśliwy?

Stary człowiek spojrział szybko na króla, potem czempędzej ukrył swoje spojrzenie; wreszcie, wyjąkując z trudem słowa, mówił:

— Myślałem o tera, królu Azisie, przez wszystkie noce mego życia, zanim mnie zmógł sen i poznałem, że niema pośród żyjących takiego, któryby był szczęśliwy. Ujrzałem w moich myślach, że szczęście jest wielkie, jak świat, a serce ludzkie jest małe, jak złoty puhar i nigdy nie obejmie szczęścia, pragnąc go tylko wieczyście. A to pragnienie toczy ludzkie serce jak robak i wypija z niego wszystką krew. Potem człowiek umiera.

Biały paw, śpiący na pobliskim drzewie, krzyknął przeraźliwie przez sen, tak, że się wzdrygnął król Azis i stary człowiek, który zaczął mówić ciszej:

— Aby objąć szczęście myślą, jak młodzieniec obejmuje ramionami dziewicę, trzebaby, aby wszyscy ludzie, którzy byli, którzy są i którzy będą jeszcze, rojni jak mrówki, złączyli swe drobne, pragnące serca w jedno, tak wielkie jak świat. I trzeba, aby wszystkie serca ludzkie były czyste... Czy to możliwe, królu Azisie? Przeto do skończenia świata, kiedy wyschnie morze i słońce spadnie w przepaść, każdy człowiek będzie tylko pragnął szczęścia i będzie umierał, wypalony pragnieniem jak ognisko. A ostatni na ziemi człowiek, konając, będzie złorzeczył za wszystkich, co byli przed nim...

— Czy wiedza ludzie o tem, o czem mówisz?

— Wiedzą, królu Azisie, tak dobrze jak ty i ja, lecz są chorzy, którzy się łudzą i oszukują siebie i innych, albowiem, gdyby tak nie było, pękłyby z nadmiernego bólu wszystkie serca ludzkie; a ktoby miał serce kamienne, wydarłby je sobie z piersi, aby nie żyć.

— Czy mówisz o tem, nauczając na rynku, albo w rybackiej przystani?

— Królu Azisie! Rzucają mi sztuki złota i wielbią mnie głośno, abym mówił inaczej. A po twoim kraju chodzi tysiąc ludzi, którzy mają serce próżne jak konchę i wylękle oczy, a śpiewają o szczęściu; płacą im za to i całują ich ręce i rzucają im palmy pod nogi. Ludzie ci płaczą, kiedy są sami... Kłamstwo pali im wargi, a oni muszą uczyć kłamstwa, bo cóż zostanie, jeśli zginie kłamstwo? A czyż człowiek nie sadi kwiatów na grobie?

— Rzekłeś!... — szepnął cicho król Azis.

Patrzył długo w starca, potem mówić począł cicho, głosem, który drżał:

— Zbliź się ku mnie... Może jest prawdą to, o czem mówiłeś, chociaż źle mi jest o tem mówić w ciemności; jeśli się mówi rzeczy straszne, trzeba by płonęło sto pochodni, i żeby grały harfy; nie o to cię chciałem pytać, stary człowieku, lecz o inną tajemnicę ludzkiego serca... Jeśli mi możesz odpowiedzieć, mów szeptem... Zbliź się; łaskawy jestem dla ciebie, jak dla nikogo... Powiedz mi jedno: co znaczy, jeśli człowiek, który się nie zatrwożył w swoim życiu ani nocy, ani lwa w pustyni, ani strzały, napojonej trucizną — poczuje nagle w sercu lęk, tak

straszny, że go obłąd chwytą, a poczuje go bez przyczyny, wśród białego dnia, stojąc wśród ludzi? Powiedz mi... Co ci się stało?

Stary człowiek, słuchając słów królewskich, cofał się, jakby przerażony, ręce w górę wzniosłszy; zbladł, usłyszawszy pytanie króla.

— Co ci się stało? — zapytał po raz wtóry Azis,

— Panie! — mówił starzec — powiedziałaś, że nie należy mówić w ciemności o rzeczach strasznych, więc się przeląknęłam, bo mówisz o trupie!

Król Azis porwał się gwałtownie ze stóp posagu; zbliżył straszna twarz do twarzy starego człowieka i nie mówił, lecz charczał:

— Mów ciszej, albo są to ostatnie twoje słowa!... Coś wyrzekł?

— Panie! — szeptał niesamowitym szeptem stary człowiek — wyrzekłem słowo nierozsądne, które noc uczyniła straszne, słowo, które jest śmieszne w obliczu słońca i mało warte.

Król Azis dyszał ciężko, potem się zwałił zpowrotem na marmurowe stopnie posagu. — Mówił:

— Odpowiedz tedy, co myślisz o tem? Skąd ten lęk i co znaczy?

— Jest znikąd, a znaczy śmierć.

— Śmierć?!

— Więcej niż śmierć. Człowiek, który poczuł bez przyczyny straszliwy lęk, umarł w tejże chwili, chociaż żyć będzie jeszcze długo.

Prawą rękę podniósł w górę i począł mówić mocnym szeptem, jak straszną tajemnicę; wyglądał jak prorok z puszcy, kiedy mówi o piekielnych ogniach.

— Kiedy człowiek doszedł do swojego kresu i kiedy stężała w nim ostatnia kropla krwi, a dusza zziębła w nim, jak owoc bez soków, wtedy nagle przychodzi na człowieka nieznaną lęk. Od tej chwili niczego już nie zapragnie, niczego nie umiłuje, niczego nie będzie pożądał, tylko będzie czuł trwogę przed trwogą. I trwogą będzie całe jego życie. Serce w nim ustanie, gdyż jest bez krwi; dusza w nim umrze, bo jest bez pragnień; mózg jego wyschnie, bo jest bez siły. Człowiek ten wszystko w sobie przepalił i wszystko strawił w śmiertelnej nudzie; przestał pożądać, gdyż miał już wszystko; przestał pragnąć, bo wypił puhar do dna; zapomniał śmiechu, bo trwoga się nie śmieje; co potem uczyni, będzie z leku, co potem zdziała, będzie szaleństwem z trwogi. Człowiek taki powinien umrzeć, lecz nie umrze, bo mu ten lęk właśnie broń z ręki wytrąci, a któż z litości zabijać będzie trupa? Powinien się położyć w grób — żywy i kazać się przywalić kamieniem. Niema już dla niego nadziei i słońce dla niego zagasło, jeśli nie oszalał w chwili, kiedy poznał ten niezmierny lęk, który wieje z pustki. Gorze! gorze! noc i pustka! Ten

lek wieje znikąd, z pustyni... Szatański strach... Nic w człowieku i nic poza nimi.. Koniec! Koniec! Śmierć po tysiąc razy, co dnia i co nocy, każdej godziny i każdej chwili...

— Aaa! — zawył król Azis i począł uderzać głową o podstawę marmurowego posagu.

O, jak bardzo lękał się król Azis!

Teraz, kiedy patrzył w półmrok, widział w nim drgające kształty każdego z osobna, słowa które nad nim wypowiedział kiedyś stary człowiek, więc mrok gryzł mu źrenice, jak płowy, żrący dym pogorzeliśka. Zdawało się Azisowi, że gdyby w tej chwili łzy zalały mu oczy, poczułby niezmierną ulgę; począł tedy pożądać łez, które jednakże, jak zła nowina przychodzą niewołane, długo potem trwając, Łanım je wypije słońce, ludzkimi łzami się sycące, aby blask w niem trwał wiekuiście.

Gorze! Gorze!

Król Azis wzdygnał się, zrozumiał, że go dotknęło nieszczęście ostatnie, bowiem mu łez zabrakło: rozumiał, że jest jak najgorszy z nędzarzy i jak człowiek trędowaty, którego wszystko odbiegło, bogdaj nieszczęśliwszy, niżli ginący w podmiejskim rowie, trądem okryty, albowiem trąd nie pokrywa źrenic. Jak długo człowiek potrafi płakać i wie, że na dnie sakwy zostały mu jeszcze dwie łzy, jak duże perły — nie jest sam, jest bowiem z nim zawsze ten, który nad nim zapłacze; wtedy dusza bolesna, jakby na dwie dzieli się połowy, a jedna z nich płacze, aby mogła ujrzeć drugą, że żyje jeszcze w tęczy łez, i nie umrze samotna. Górze! Górze!

Król Azis głowę przed się wyciągnął i zdawało się, że chce zbliżyć źrenice do płomienistego żądła lampy, aby wypaliwszy mu oczy, wycisnęło z nich chociaż łzy bólu, zabarwione krwią. Wzrok króla był straszny. W szklawie czarnych królewskich oczu zanosił się, potworny swa niemota, przeraźliwy krzyk; jakby ktoś wołał z głębin czarnej przepaści, skąd głos już nie dojdzie.

Rozpacz tak nieraz krzyknie przerażeniem oczu, i bezgłośnym tym krzykiem zamąci mózg, albo po raz ostatni o ratunek błagając, krzyknie człowiek, który za chwilę zapadnie na wieki w trzęsawisko szaleństwa.

Myśl, kształty mająca potworne i ohydne, ujęła w kosmate dłonie tępy grot i zaryła go w królewskie czoło, szeroką w niem wlokąc bruzdę. Drżał na całym ciele król Azis, czując, jak w spalonym jego mózgu orze jakieś zadzierzyste ostrze i wrywa zeń krwią zlepione włókna, jakby chciało dotrzeć do siedziby czerwia. Głowa królewska gorzała w płomieniach bólu, kiedy równocześnie chłód nieznośny całe obejmował ciało. W mózgu jego wyśpiewywał ból jakiś chrapliwy śpiew, ohydny i wściekły, wykrzykiwał, jakby wśród bulgotu krwi, olbrzymie, ciężkie, jak skały, słowa porwanej na strzępy pieśni, wijącej się w szaleństwie.

— Król Azis z wysiłkiem ujął połę płaszcza i głowę nim zakrył, przerażony; wtedy jakby kto nagle położył pokrywę na szalejący bulgotem war, ucichły straszliwe szумы i wielki król słyszał, jakby daleką burzę, krwawiąca czarny widnokrąg błyskawica.

“Uszanujcie sen królewski!” — zabrzmiało gdzieś daleko wołanie, jak zły, cichy śmiech.

Król Azis dyszał; osunęła się z królewskiej głowy poła miękkiego płaszcza.. Na królewskim czole zamigotały krople potu; jakgdyby trup obudził się po długim śnie, tak wyglądał król Azis.

Jak zwierz, który przeżył chwilę śmiertelną, zdoławszy ująć psiej sforze — z oczyma krwią nabiegłymi odpoczywa w gąszczu, tak oto, oddychając z wysiłkiem, odpoczywał król Azis; lęk, który nad nim zawisnął, nie pozwalał mu na to, aby pełną piersią zaczerpnął powietrza. A kiedy mógł już myśli ogarnąć, rozpierzchłe w przerażeniu jak ptactwo, ujrzał dziwnymi swymi oczyma jedną z nich podobną do smolnej żagwi, jaką wróg wrogowi ciska pod strzechę; a inną podobną do zatrutego nasienia, które zły człowiek wrzuca wrogowi swemu do dzieży, w której zaczyniono ciasto na gorzki chleb; a inną jeszcze podobną do noża, na którym krew przyschła, jak rdza. Potworny lek z twarzą sinego upióra pędził ku niemu te myśli, które w mroku wypełzły jak żmije i pięć się poczęły ku królewskim białym, zawsze drżącym rękóm.

Drgnął król Azis, poczuwszy, że dłoń jego ujęła twardą rękojeść noża; to królewskie palce, w szpon zakrzywione, objęły zimna poręcz rzeźbionego krzesła. Po szkliwie czarnych oczu królewskich przebiegł błysk, podobny do śmiechu. A w tejże chwili ruda, płomienista żagiew, jakby rzucona silnem ramieniem męża, zatoczyła łuk przed królewskimi oczyma i padła, sycząc złym, nieszczęście wróżącym sykiem, pomiędzy marmurowe kolumny. Spojrzał szybko król Azis; to lampa, silniej błysnąwszy, liznęła błyskiem marmury, na płomień nieczułe.

Jeszcze po dwakroć i po trzykroć splamiły się przemijającym blaskiem skamieniałe w pysze swojej przezyste marmury, bowiem lampa poczęła konać i zanim umrze w niej świetliste wnętrze, błysnęła jaśniej, śmierci swojej świecąc. Nagła ciemność runęła ze stropu i dopiero po chwili białe kolumny, jakby w chwili zamieszania złamały porządek szyku, poczęły jaśnieć wśród mroku i przesuwając się przed oczyma króla, jakby szukały wieczystego swego miejsca, w którym je osadziła moc połączona tysiąca niewolników; kiedy król Azis spojrzął w mrok po chwili, ujrzał je już nieruchome, w pysznym stojące szeregu, lekko i bez trudu na swych trefionych głowach dźwigające strop sali, leniwy i bezwładny.

Chciał krzyknąć król Azis, aby mu przyniesiono pochodnię, lecz nie miał siły; poczuł, że jest bezwolny, jak rozbitek, którego niosą fale, głośno szumiąc; oto z pod stropu, wraz “z mrokiem, który opadł jak ciężka chmura, spłynęły groźne szумы i nagle błąkać się poczęły wśród kolumn i szeleścić wśród liści, zdobiących ich pyszne czoła. Przyczał się lęk w pustej piersi króla Azisa, który, oczy z przerażenia przymknawszy, począł nasłuchiwać szumu nocy, podobnego do śpiewu odwiecznych drzew, śpiewających tę sama, tajemnicza, groźna pieśń od początku świata o ogniu i o ziemi.

Król Azis bał się poruszyć, tylko nasłuchiwał, zastygłszy w niemej trwodze, jak noc uderzała głucho czarna ręką w marmur, szukając śpiewającego serca i patrzył, jak wyniosłe widma kolumn nadstawiały swoje białe piersi.

Z każdego rogu ogromnej, pustej sali biegły niespokojne, czujne, płochliwe szmery, pełzały po podłodze i po ścianach, spływały ze stropu i, wijąc się, biegły ku kolumnom, gdzie się łączyły w nieustanny, beznadziejny, jednostajny szum, śpiewający straszną, męczącą melodię dalekiego dzwonu, krwawiącego pęknięciem sercem. Szum ten ogarnął głowę króla Azisa i dzwonił mu w uszach, jak głębia, kiedy człowiek głowę zanurzy w czeluść wody.

Król Azis słuchał, zastygłszy; czuł, że mu jęk nocy sączy się w mózg przez uszy, przedziera się przez źrenice i zalewa mu usta, jakby się znalazł w wirze tego śmiertelnego głosu i nie mógł zeń wychylić swej znużonej, królewskiej głowy. Więc się jakby położył na szumiącej fali i, dysząc, słuchał jej śpiewu, aż mu nagle w mózgu rozkołysał się dzwon nocy, którego brzegi, z ciemności kute, sięgają morza, i pokrywają góry, a serce królewskie zeschłe i twarde bić o te brzegi poczęło.

— Lęk! lęk! lęk! — krzyczał dzwon jękiem.

Król Azis oczy powiekami nakrył, a palcami chwycił się kurczowo poręczy krzesła.

I słuchał jak mu śpiewała noc, zimne wargi zbliżywszy do jego twarzy.

“Jak śmierć jest twoja trwoga... O! jak śmierć, Azisie!... Nie masz serca, tylko gruz... Konasz, jak robak zgnieciony kołem kwadrygi... Królu Azisie!... Drwi z ciebie twoje miasto i zabić cię chce, jak szakala... Morze ci urąga, Azisie... Tobie, któremu z drogi ustępowało słońce... Słyszałeś, co mówił dzisiaj twój strażnik, który chciał mieć głowę twoją?...”

— Lęk! lęk! lęk! — zawyło serce Azisowe. “Oto ci powiem, co ci osłodzi wargi, jak słodki owoc i padnie jak rosa na spiekle ciało... Zabij ich własnym lękiem, aby nie ujrzeli, że w tobie jest próchno... Zgaś ich źrenice, aby nie ujrzeli, że twoje mdleją z przerażenia... Czyń strasznie, Azisie!

— Azisie! — jęknęły długim, cichym jękiem kolumny.

“...Mścij się za to, że umarłeś, bowiem umarłeś! Azisie! Śpiewaj, lejąc krew, gdyż cię oplują wzgardą i rzucają w bagniska... Azisie! Niema krwi w tobie, więc musisz ujrzeć cudzą... Trwodze swojej dasz miecz w ręce, niech się mści za twego trupa... Trwoga twoja jest jak śmierć, bowiem uląkłeś się bezdna... Ukorzył cię ktoś, kto jest większy i zgasił jak gwiazdę, ktoś, kto podnosi morze... Zgniła w tobie myśl twoja, a serce stoczyło robactwo... Czyń strasznie, Azisie! Niech świat zatrwoży twoja trwoga, a ty gruzem świata wypełnisz pustą pierś... Azisie!

— Azisie!... — jęknęły kolumny, jakby wiatr wśród nich powiał.

“...Ktoś ty jest? Umarłeś, zanim umarłeś, więc czekasz, kiedy umrzesz. Dobiegła twoja dusza kresu, a spalonym jej śladem twój mózg się teraz wlecze. Czy nie wiedziałeś, że człowiek nie jest jako źródło, które wiekuiście trwać może, samo się żywiąc, lecz jest jako strumień, który odbiegł cienką strugą od wielkiej rzeki... Azisie!... Czy nie wiedziałeś, że drogę masz długą i że należy ostrożnie pić wodę ze skórzanych worów, abyś nie umierał z pragnienia? O, Azisie! Jesteś już po drugiej stronie życia, więc ci na piersi spadł lek, którego znieść nie może człowiek żywy... Górze! górze! Lej krew i czyn strasznie, aby nie poznali, iżes trup, który tylko oczy ma żywe... Czyń strasznie, abyś zapomniał... Gorze! gorze! Azisie!

— Azisie! — załomotało grzmotem wśród kolumn i oto jakby runęły wszystkie, gdyż ciężar wyniosłych marmurowych pni zwałił się potwornym uderzeniem, na spiekły mózg króla.

Omdlał król Azis.

Długo leżał, z głowa pochylona bezwładnie na pysznym, rzeźbionym krześle królewskim, aż się wstrząsnął nagle, kiedy mu zimnemi rękoma dotknął skroni chłód poranny, który wszedł niewiadomo którędy, przyczaiwszy się gdzieś u wejścia. Król Azis podniósł z ciężkiem westchnieniem omdlałe powieki i spojrzał mętnie poprzód siebie. Siny szron obwiał marmurowe olbrzymy i drżał w powietrzu. Azis oddychał z trudem i trząsał się na chłodzie, chociaż miękki płaszcz go okrywał; podniósł tedy wielki król oczy na olbrzymie okno, ujęte w zczerniałą sieć ołowianych ram, wśród których rozpełzło się tysiąc kolorów, pomieszanych dziwacznie tak, iż w chwili kiedy je promieniami napoiło słońce, okno poczynało gorzeć płomieniem, drgać tęczę, szaleć kolorami jak kwietna grzęda, na która szalony człowiek bez ładu rzucał ziarna: pyszniło się bardziej jeszcze, niż skarbiec króla Azisa, w którym rubiny, jak wielkie serca krwią pluskały w zadziwione oczy, diamenty grały płomieniem, jak okruchy słońca, a szmaragdy patrzyły złym, zielonym błyskiem, jak ślepie smoka; wabiło kolorami, jak fala, która otarła się o podstawę tęczy, zatopionej w morzu, gorzało jak pożar chmur przed wschodem. Mistrz, który przybył z za morza, życie strawił, malując bezbarwne szkło, na wagę

złota kupione u żeglarzy i oto słońce dalej wiodło dzieło mistrza, ile razy padło na olbrzymie okno, cud świata.

Patrzył szklanemi oczyma król Azis i widział jak najpierw siność powlokła jasne okna, jak następnie grad diamentów uderzył szkło i światło złociste poczęło spływać, sącząc się od góry i dziw czyniąc niepojęty, dobywać jęło z sonej pomroki ciało dziewicze, różowe jak płatek róży i pachnące jak słońce; rzuciło na nie pyszną, złota falę włosów, aby miało ochronę przed chłodem, który u spodu okna się przyczaił, chwyciwszy się kurczowo zgrabiałemi od zimna palcami czarnych ołowianych rani; potem ją łuskający grzebień płomieni czesać począł, gdyż za chwilę zniosły słoneczne blaski gdzieś z przestworza na drżących swych rękach cudną koronę diamentową i lekko ją ułożyły na złotej głowie królowy, różowej jak płatek róży. Nagle drgnęła urodzona ze słońca królowa, jakby jej oczy z szafirów przeraziło widmo.

Na pomoc, o słońce!

Oto mrok, co się przyczaił u podstawy okna, wylął z stęchlizny swojej olbrzymiego smoka, który czarnym bijąc ogonem począł pełzać, drąc gładkie szkło zakrzywionym pazurem kosmatych łap; dwa wspaniałe rubiny, ukradzione z królewskiego skarbcza, wtłoczył sobie w potworny łeb, paszczę szeroko rozwarł i buchnął z niej płomieniem. Zbladła, śmiertelnie królowa i zastygła w przerażeniu, wiotkie i białe ręce cisnąc do piersi.

Na pomoc, o słońce! słońce!

Zadrzało złociste słońce w pysznym gniewie jak król, co brwi zmarszczył, bowiem ktoś jego niezłomnej woli śmiał uczynić wbrew; więc rozkazało wnet błyskawicą oczu, aby stał się cud. Oto się dzieją dziwy. Na sine, mrokiem zasnute szyby rzuciła się nagle tęcza jak droga, a za chwilę krótka jak błyskawica, zadudniły na niej złote kopyta rycerskiego konia.

Dziwo! dziwo!

Na rozhukanym, białym jak mleko, rycerskim ogierze, strojnym w brylantowy rząd, pędzi z przestworza ze słonecznej dali rycerz tak cudny, jak księżę z bajki i tak wspaniały, jak bóg, co słoneczne pędzi rumaki. Lśniąca, złocista kurzawa podnosi się w górę, a on leci wciąż jak wicher, aż się płaszcz purpurowy wzdał mu na plecach i owinął go, jak w krwawą chmurę. W biegu szalonym chwycił rycerz pyszną kopję ze złożonem ostrzem, którą mu słońce podało i w górę ja wzniosł... Jest już niedaleko i za chwile jak grom uderzy; w siodle się zaparł i zdał konia, aby przeskoczyć straszliwa przeszkodę, ołowianą ramę okna. Rumak zamigotał złotemi podkawkami, przysiadł na zadzie i znieruchomiał, bowiem w tejże chwili jęknęły gdzieś w oddali harfy, cichym, łagodnym, jakby konającym lekiem. Obudził się z odrętwienia wspaniały król Azis; to jego przyszli witać i uczcić poranna pieśnią. Podniósł się z trudem z rzeźbionego krzesła, płaszcz z siebie zrzucił i powłókł się powoli ku dźwięm, lecz kiedy dwa kroki uczynił,

zdawało mu się, że stąpa po krwi; oto słońce, malując purpurowy płaszcz rycerzowi na olbrzymiem oknie, śpiewajacem barwami, rzuciło na kamienną posadzkę pod nogi króla Azisa strumień, jak krew czerwony. Król Azis przebył szybko słoneczny gościniec i stanął we drzwiach.

Straszny był; czarne oczy zapadły się w głąb czaszki, usta miał zacięte i sine, twarz zmięta i jakby wysuszoną przez spiekę. Spojrzał nieprzytomnie i szedł bezwolnie ku tronowi, ustawionemu pod purpurowym baldachimem, na terasie. Usiadł i patrzył przed siebie.

Krzyknęły radośnie harfy, upadli na kolana ludzie: tak co dnia o wschodzie witano króla Azisa. Oto dwaj czarni, w pustyni na pętlicy złowieni niewolnicy, przyczołgali się pokornie, w twarz królewską nie patrząc i chwiejąc w rękach kadzielnice, z których włókł się leniwie wonny dym; w tej chwili targnięte silniej struny harf zagrały głośno, jak grajkowie zbudzeni nagle, dotąd przez sen, bezwiednie grający. Dwanaście dziewcząt, ledwie rozwitych jak wiosenne kwiaty uklękło, ramionami miłośnie ujawszy łkające harfy, śpiewające teraz głośno, bowiem słuchał król Azis; splątały się akordy i zakrzyknęły hymnem; wtedy powstała z klęczek najpiękniejsza z dziewcząt, jaka kiedykolwiek przywieźli z oddalonych wysp handlarze i poczęła śpiewać drgającym z przerażenia głosem pieśń poranna, którą uczona długo, śpiewała co dnia.

“Jak słońce jest król Azis i ziemię ma pod nogami. O! jak piorun jest król Azis, który zabija...

“Siedm było królestw na ziemi, a on j e rzucił przed sobą w proch o! król Azis!

“Bóg jest jeden i jeden jest król Azis, bo któż jest mocniejszy na ziemi?

“Chwała! chwała! chwała!

“Niemasz łzy w jego— królestwie, bowiem ją otrze swą ręką, która zabija wroga Oo!
Oo!

“Na kogo spojrzysz król Azis, ten jest szczęśliwy. “Morze go wielbi i ziemia!

“Któż jest nad króla Azisa, który nie zna lęku. — — —

— Precz! — krzyknął nagle zdławionym głosem król Azis, usłyszawszy okropne słowo.

Głos zamarł w gardle dziewczęcia, a harfy ucichły, jakby w nich pękły złocone serca; niewolnice poczęły przerażone drżącymi palcami uciszać struny, które jeszcze drżały wzruszeniem. Potem się cofnął pokornie tłum, nie śmiać spojrzeć w oczy królewskie.

Król Azis patrzył wciąż przed siebie i dopiero po długiej chwili, kiedy echo harf zamarło gdzieś w ogrodach, powstał z tronu i klasnął w dłonie. Jak cień wysunął się z za węgła niewolnik.

— Gdzie jest dowódca wojsk?

— Czekaj rozkazów twoich, panie!

— Powiedz, niech przyjdzie natychmiast. Precz! Chwila nie upłynęła, a przed królem stanął mąż, rosły jak dąb, ogorzały od wichrów, chytrze mądrymi patrzący oczyma.

Ukląkł pokornie i z czcią ucałował rękę królewską.

Król Azis podniósł na niego mętny wzrok i spojrzał mu głęboko w źrenice.

— Tyś rozstawiał wczoraj straż w ogrodach?

— Ja, panie — rzekł wojownik, starając się oczyma chwycić myśl królewską.

— Wiesz, który ze strażników czuwał wczoraj przy fontannach?

— Panie!!

— Czemuś się przeraził?

Wojownik podniósł ręce w górę, jak człowiek który wielbi dziwy.

— Dlatego, że się nie ukryje nic przed twymi oczyma, królu Azisie. Pytasz o człowieka, który mnie nappełnił zmartwieniem: oto dzisiejszej nocy obwiesił się na palmie; był to najlepszy mój setnik, dlatego jestem smutny.

Król Azis przybliżył twarz do twarzy swego wodza i rzekł dziwnie:

— Był to najgłupszy z twoich żołnierzy. Wiesz, co mógł uczynić? Grot jego włóczni był tuż przy moim sercu, a on mnie nie zabił.

I trząsał się król Azis, jakby go przejął nagły chłód. Smagły wojownik pobladał jak śmierć i szerokiemi od zdumienia oczyma powiódł po twarzy króla.

— Czy drwiesz, panie, z twojego sługi?

A król Azis usta ohydnie wykrzywił i wypływał słowa:

— Ale oszalał... Z trwogi oszalał na samą myśl, że mógłby dotknąć królewskiego serca. Słyszałeś? Lęk go ogarnął taki, jak śmierć i musiał umrzeć... W oczy mi spojrz; wiedziałeś, że mnie mają zabić? Króla Azisa? Odpowiedz i zważ, że kłamstwo wargi ci spali, a ja potrafię wydobyć prawdę razem z sercem. Wiedziałeś o tem?''

Wojownik spojrzał prosto w oczy królewskie i rzekł powoli, mocnym szeptem:

— Królu Azisie! Usnąłeś przed wielu dniami, a ja stałem nad tobą z nagim mieczem, aby strzec twojego snu. Czy obudziłeś się owego dnia?

— Mów! mów!

— Pomnij, królu Azisie, że krótki mój miecz dość jest długi, aby dosięgnąć serca. A tyś się obudził żywy... I to ci powiem: gdybym ci powiedział, że wiedziałem, kazałbyś mnie umęczyć za kłamstwo, pomyślawszy, że oto stoję tu przed tobą, słuchając obelgi, a miecz mój jest w pochwie.

Rzekłszy to, odpasał krótki miecz, szerokie mający ostrze i z siłą odrzucił daleko od siebie.

Na czole króla Azisa ukazały się krople potu; drżącymi rękoma ujął głowę dowódcy i uściskał ją, jakby miłośnie, mówiąc z trudem:

— Ty jesteś jeden... Tak! jeden tylko w mrowisku... Reszta modli się o moją śmierć, lecz ich zabije trwoga. Słyszałeś? Taka piekielna trwoga, od której usycha mózg, a serce spala się na węgiel. Mówi ci to król Azis, a nigdy nie było inaczej, tylko tak jak on powiedział... Jeszcze na jedno mi odpowiedz... Widziałem jak ci na czoło wyszły żyły, kiedyś ujrzał moją córkę, piękniejszą od gwiazdy. Pragniesz jej? Wśród trzech najmłodsza jest i najpiękniejsza. Pragniesz jej?...

— Panie! — jęknął dowódca.

— Weźmiesz ja dzisiaj... Jeśli iść nie zechce, wyciągniesz ja za włosy... Jest twoja... Daje ci ją król Azis, który cię miłuje... Idź, podnieś miecz, będzie ci potrzebny... Weźmiesz sto rubinów i trzy razy po sto największych pereł...

Dowódca padł nagle do nóg królewskich i całował jego stopy, obute w purpurowe, złotem szyte sandały. Miał usta pełne słów, lecz nie mógł wypowiedzieć żadnego, jęczał tylko jak człowiek, na którego padnie ciężar.

A król Azis pochylił się nad nim i szeptał:

— Za to uczynisz to, co ci każę.

Pochylił się ku niemu, nisko, tak, że zeschnięte wargi niemal do ucha mu przytknęły i począł szeptać; dowódca słuchał chciwie, lecz kiedy dziesiąte słowo wyszeptał król Azis, twarz zbrojnego męża zbladła śmiertelnie, a oczy jakby krzyknęły straszliwym spojrzeniem obłędu.

A król Azis palce mu wpił w ramię i jeszcze głębszy i okropniejszy szept w mózg mu wgniatał.

— Panie! — zakrzyknął dowódca. Podniósł się król Azis, oddychając szybko, jakby po wysiłku.

— Czemu zawyło tak twoje serce? — zapytał. Dowódca podnosił szybko i zniżał powieki, jak człowiek, którego raził z nagłą żar błyskawicy, rwącej chmurę na strzępy.

— Panie! — wyrzekł ciszej już, lecz jakby się skarżąc i obiema rękoma za głowę się chwycił, gniotąc ją ruchem szaleńca, który czerwia poczuł w mózgu.

— Czemu skomlisz? — zadrwił król Azis tym głosem, co się za chwilę rozsierzdzi i sztyletem ostatnie swoje wypowie słowo. — Czemu skomlisz jak pies, który ujrzał lwa i uciec chce podle? Po coś tedy podnosił swój miecz, żelaziwo nędzne, któremu przystoi chleptać z kałuży śmierdzącą wodę, a nie pić krew, podobną winu?

— Abyś nim uderzył, królu Azisie — wyrzekł jakby stekiem dowódca; w tejże chwili miecz ku sobie obrócił, ostrze przytknął w tera miejscu, gdzie serce uderzało w nim jak na trwogę i, kierując miecza rękojeść ku Azisowej wiotkiej ręce, szeptał:

— Abjys nim uderzył, królu Azisie! Uderz pod ostrzem czuję serce.

Król Azis spojrział mu głęboko w rozszerzone oczy.

Mówił:

— Gdyby cię w tej chwili ujrzał ten głupiec, który spisuje moje słowa i wśród skwaru po polu bitwy za mną chodzi, aby widzieć każde cięcie mego miecza, rozgłosiłby twoja sławę, sadząc, iż chcesz zginąć dla króla, który cię umiłował. A oto ty chcesz zginąć dla szaleństwa, które cię umiłowało... Słyszysz?... Odejmij ostrze od piersi, gdyż dłoń moja jest niespokojna, odejmij powiadam, gdyż jeśli nie ręka, to oczyma pchnę głównię, a miecz dowódcy znajdzie serce swego pana. Nie chcę widzieć twojej krwi — musi być biała, jak mleko brodatej kozy.

— Panie! — jęczał dowódca.

— Nie tyś chyba zwyciężył na wyspach, które kto inny we krwi zatopił. Jakże mógł zwyciężyć człowiek, co zadrżał, ujrzawszy samą myśl tylko. Trwoga ci bluznęła w oczy krwią? Głupcze! Niema trwogi na ziemi... Powiedz, że niema! Co jest lęk? Słowo... Niema trwogi... Oo!... Niema... I krwi w tobie niema, bo gdybyś ją miał, czy spłynęłaby ci z twarzy, kiedyś usłyszał, że król Azis daje ci córkę, abyś ja posiadał? Czy wiesz, co straciłeś, głupcze? Dowódca twarz ukrył w dłoniach i łkał głośno, jakby to nie był ów straszliwy mąż, co koniem wpływ przepływał przez rzeki krwi, szukając obłąkanemi oczyma człowieka, co żył jeszcze w gęstwie trupów.

Król Azis patrzył na niego z podełba, niespokojnym wzrokiem. Potem, jakby mu nagle myśl jakaś objawiła swa tajemnice, chwycił za rękę zbrojnego męża i rzekł mocno: — Pójdź za mną!

Dowódca się ocknął i szedł za królem z głową na piersi opadła, nie wiedząc drogi, obojętny na to, co czyni. Szli przez głuche sale, brzmiające pustką, jak morskie, wielkie muszle, przez kurytarze, w których wylegiwała się na słońcu drzemiąca cisza, przez schody, marmurowem swem cielskiem leniwo w górę pełznące, przez szeregi fontann, gadających do siebie perlistym nieustannym szmerem, jak dzieci, opowiadające sobie wzajem zasłyszane bajki, przez rzędy kolumn, stojących jak smukli żołnierze, co sklepioną tarczą zasłaniają ukwiecone akantem głowy przed strzałami ze słonecznego łuku, przez terasy, uginające się pod morzem kwiatów.

Nie powiedzieli do siebie ani słowa długą chwilę, aż król Azis, głowy nie odwracając, rzekł:

— Stąpaj ciszej!

Szli tedy dalej w milczeniu jeszcze większem, aż weszli, do zacisznej sali, do której dolatywał zdała śmiech pusty i głośny. W sali tej była kobieta, jedna z tych, co przygrywały na harfie Azisowi, kiedy dzień się uczynił; ujrawszy króla, upadła na twarz, nie śmiejąc wznieść oczu.

Kopnął ja noga król Azis, dając znak, aby powstała.

Słuchała pochylona, co jej zechce powiedzieć największy z królów.

Powiedział jej jakieś słowa cicho, potem ona, skłoniwszy się z niezmierną czcią, odeszła.

— Pójdź — rzekł król Azis — abyś ujrzał swoje szaleństwo. Tedy idź!

Dowódca zadrzał; poznał, że znajduje się w pobliżu komnat królowy Minoe; kto chciał umrzeć śmiercią nagłą od ciecica miecza, który niewiadomo skąd uderzał, wchodził w to pobliże. — Idź! — rzekł głośno król Azis. Weszli w dziwny ogród, o którym, nigdy go nie oglądawszy oczyma, śpiewali poeci w azisowym kraju; nie wiele razy od tej chwili odmienił się księżyc, kiedy to król Azis kazał zabić jednego za pieśń, która mu się wydała potworna. Oto nieszczęsny człowiek, grający na lutni, śpiewał, zdała stanąwszy od bramy królewskiego pałacu:

“Stopy rani mi cierń, a serce moje mrze co dnia dziesięćkroć razy. Głód mi wykręca wnętrzności, a oto ręka moja odtrąca srebrne misy, pełne owoców.

Pragnienie pali mi wargi, a ja wylałem w morze złote wino z kryształowego puharu.

Uderzył mnie w twarz wróg mój, a ja ucałowałem jego rękę.

O, jakże bardzo pragnę cierpienia i męki!

Niech mi ktoś wytoczy z serca ciepłą krew po jednej kropli, abym długo cierpiał, konając.

A w nagrodę chcę, aby dusza moja mogła wejść w ogrody królowy Minoe, o, Minoe!”

Tu były te ogrody.

Cud tęczy ukazał się zdumionym i zatrwożonym oczom dowódcy: oto widział pustynię w księżycowa noc i niczem mu się zdała; widział fale morskie, niosące na swych zjeżonych grzbietach ku brzegom diamenty i niczem mu się zdały; widział groty w piersiach gór na odległych wyspach, pełne blasków, grających piękniej niż słońce i niczem mu się zdały; widział swoje sny, kiedy spał na łuku siodła pod gwiazdzistym niebem i wydały mu się marne. Otoczył go blask i tysiąc tęcz, które jakoby wisały, jak girlandy na gałęziach drzew nieznanych. Fontanna miotała w swem rozigranem szaleństwie krocie pereł na wszystkie strony, siejąc je między kwiaty, które gorzały jak płomienie, albo się tliły, jak ogniki, albo

dymiły niezmierną wonią; u stóp fontanny sześć lwów skamieniałych lało z paszcz różana wodę, która jakby się z ich krwią zmieszała, spływając w olbrzymią marmurową czarę. Niezliczone mnóstwo kwiatów otoczyło czarę i patrzyło w jej toń leniwą i poważną tysiącem barwnych oczu, cichych i niezdziwionych, jakby zamyślonych głęboko. Woń tych kwiatów była jak wiew śmierci, a one same były jakby chore, jakby dziwne, opite ciężką wonią własną, senne niezdrowym snem, wiszącym jak parna chmura. Chłodziła je fontanna, odwlekając pyszne, ciche konanie z przesytu; jaśniały tedy senne, cudem barw wielbiąc śmierć własną, jakby z własnej wywołaną duszy, z głębi kielichów, wielkich jak kryształowe czary na królewskim stole, lub drobnych jak konchy uszu królowy Minoe; wiotkich jak słowa kochanka, albo też ciężkich i mięsistych, jak krwawe wargi niewolnicy z piaszczystej pustyni; drżała ponad niemi w tumanie zapachów ogromna pycha bogactwa, tęcze od nich biły, kłębiąc się jak węże.

Dziwne krzewy przywiezione z zamorskich puszczy, karłowate i nędzne, rosły rzędem, czając się złośliwie i podstępnie u stóp palm wyniosłych jak nędzny karzeł, co się czołga u królewskich nóg i szepce, dziwne swa brzydota, od której oczu oderwać nie można.

Między te krzewy powiódł król Azis swego wodza i, stanąwszy tak, że dość było gąszczu, aby mógł ukryć w sobie, dwóch mężów, szepnął:

— Jeślibyś chciał zginąć i nie ujrzeć krwi, ułóż się do snu w tym ogrodzie. Czemu drżysz?

Dowódca dotknął ręką czoła, jak ktoś, którego trapi uporczywa myśl i zła.

— Nie wiem, królu Azisie, czemu po mnie przechodzi dreszcz. Nie jestem na ziemi.

— Milcz! — szepnął król Azis i ujął go silnie za rękę.

Począł nasłuchiwać pilnie, potem rzekł cicho:

— Bądź umarły... Z głowni mego noża wielki szmaragd patrzy na ciebie jak złe oko... jeśli dojrzy ruch jeden, uderzy.

— Panie!

— Bądź umarły... Duszę całą zmień w źrenice... Ujrzysz, czego nie widział nikt, abyś poznał, jak bardzo cię miłuję. Bądź umarły, niech żyją tylko twoje oczy. Nie trwóż się!... I nie drzyj, bo jeślibyś omdlał, te kwiaty cię zabiją, a ja kopnę twego trupa, bowiem będziesz bez rany, a wódz mój tak nie umiera...

Zcisz oddech... Oto idzie Minoe... Minoe, córka królewska, którą wzgardziłeś... Spójrz tam! Wśród kwiatów sama jak kwiat... I zabija jak kwiat... Minoe! Och! Nie drzyj... Serce twoje puka zbyt głośno, połóż na niem dłoń, każ mu skonać... Minoe idzie!... Jej jednej obawia się moja pantera, nie mogąc znieść jej oczu... Widziałeś oczy Minoe? Są bez barwy i

bez dna... Przed takimi oczyma biegnie zawsze śmierć, wołając, by z drogi zszedł każdy, kto nie jest nieśmiertelny... Oprzyj się na mojem ramieniu, czemu się słaniaasz? Widziałem, jak na koniu skoczyłeś przez przepaść... Czemu drżysz, jak niewolnik, któremu krew trysnęła z grzbietu? Wódz nie drżał już; blady był tylko, jak posąg marmurowy w królewskim ogrodzie, wyobrażający bohatera i ciężkie "krople potu spływały mu powoli ze skroni; ręka ścisnął kurczowo głównię miecza i dyszał szybko. Król Azis stanął poza nim, niemal w ramiona go ująwszy, jakby się obawiał, że za chwilę wódz jego do stóp mu może runąć, jak wysokopienna sosna, podcięta u korzeni. I tak poza nim stojąc, królewską swą głowę do jego przybliżywszy głowy, mówił do niego głosem tajemnym, cichym, złym i kuszącym, a każde królewskie słowo obejmowało wodza wkoło jak waż i pięło się ku jego gardłu, które wyschłe było w tejże chwili, jak krynica pory letniej spieki. Mówił król Azis:

— Idzie tu jak łania, mniemając, iż jej nie dostrzega oko łowca. Najpiękniejsza z pięknych, piękniejsza niż bóstwo, albowiem bóstwo jest umarłe... Siedm galer pełnych purpury i złota chciał mi dać za nią Sorosis, którego głowę mi przyniosłeś, owiniętą w palmowe liście... Czemu ważył się myśleć o Minoe, córce króla Azisa?... On jest jeden i ona jedna... Psami kazałem wyszczuć posłów króla Tabu, który jej pożądał, bowiem łasil się jak psy, prosząc o nią... Chciał mi dać za nią dwa rubiny tak wielkie, jak jej dziewicze piersi...

Oto się zbliża Minoe! Zakryj dłonią oczy, albowiem możesz umrzeć, a wiesz, jak bardzo cię miłuję...

Oczy wodza gorzały jak dwa ognie, jakby był wśród bitwy i sępiim wzrokiem wypatrywał śmierci.

Księżniczka Minoe szła powoli wśród kwiatów, przed siebie dziwnie patrząc, jakby nie wiedziała dokąd idzie. Oto te oczy musiały widzieć rzeczy, których niema, albo też umarłe, bowiem nie było w nich nic żywego. Bez barwy były, jako rzekł król Azis, nieruchome i podłużne; z oczu takich płyną łyż zatrute. Musiały widzieć, w bezkres i dal nieskończoną patrząc, coś, co nie jest ludzkie, albowiem miały wyraz taki, jakby były uśmiechnięte.

Pozdrowiały uśmiechem śmierć.

Księżniczka Miuoe blada była i zdaje się, że nigdy kwiat rumieńca nie ubarwił tej twarzy pysznej i złej, któraby nie drgnęła, widząc niebo w płomieniach, a ziemię, zalaną krwią. Ponura, cudna rzeźba ożyła, a wyszedłszy z grobowej ciemnicy szła teraz wśród kwiatów uśmiechnięta, a tak lekka, że nie słyhać było szmeru jej kroków na złotym piasku, przesypywanym skrętnie palcami stu służebnych kobiet, by się w pył złocisty nie zabłąkał kamień lub muszla.

Fontanna zaszumiała głośniejsze, kwiaty uderzyły ciężka chmura woni w rozpięty nad ogrodem baldachim z purpury o dziwnym niebieskawym połysku, nieznaną sztuką wydobyłym z płonącej, jakby ciepłą krwią umazanej tkaniny. Kropla różanej wody musiała paść na pyszne czoło Minoe, gdyż dreszcz przebiegł po jej twarzy i spędził z niej wężowy, chytry, zły, cudny uśmiech. Minoe szła ku fontannie; na lwim łbie oparła się lewym ramieniem, a palce prawej ręki, drobnej jak u dziecka, zanurzyła w marmurowym basenie. Potem, oczy zmrużywszy, rozpięła ramiona szeroko, jak czyni człowiek, co zbudziwszy się po długim, dobroczynnym śnie, czuje jeszcze rozkosz przedziwna, której nie zna źródła. W tej chwili dreszcz wstrząsnął ciałem księżniczki Minoe. Rozdęły się jej nozdrza, chłonąc parny, ciężki, zatruty zapach kwiatów, potem ręce powolnym, leniwym ruchem jęły rozrywać na piersiach Minoe tkaninę szaty, tak wiotkiej, jak wśród miesięcznej nocy powiedziane, ciche, miłosne zakłęcie.

— Zbierz siły — mówił w tejże chwili król Azis do dowódcy — abyś nie skonał, nie ujrawszy cudu, większego niż słońce. Z szat swoich się rozdziewa Minoe... Patrz, jak purpurowe kwiaty zbladły, ujrawszy nagość jej ramion... Czyś nie oszalał jeszcze? Widziałeś ciała kobiece, lecz nie widziałeś ciała grzechu, którego trwoży się słońce. Oto jest grzech w nagości swojej, przedziwny i boski... Nieskalana jest Minoe, córka królewska i czystsza jest od tej lilii, która drży u nóg jej, jakby z pożądania, bo któż nie pożąda Minoe?

Trzech mam synów i trzy jeszcze mam córki, podobne pysznym posągom, a wśród nich Minoe błyszczą jak poranna gwiazda, kiedy wstaje z morza.

Spójrz, jak złoty błysk opasał jej piersi, jak żmija i pije z nich rozkosz...

Minoe odsłoniła cud swoich piersi i jęła zrzucać z siebie szatę mistrzowskiemi rękoma długo tkana w ogromnym trudzie przez trzydzieści niewolnic, których oczy płakały krwią po tej pracy, ł nagle zabłysnęła jak słońce, co się wyswobodziło z purpurowej osłony porannych zórz; stanęła naga jak kwiat, co błysnął pysznem pięknem i uwodził oczy. Jak kość słoniowa, która przywożą śmierci poślubieni żeglarze z ziem tak odległych, że pół życia potrzeba, aby za łaską wiatrów przybić do nich, tak zajaśniało ciało księżniczki Minoe, drżące, jakby od chłodu.

Nagle dreszcze przebiegały po nim, zwiastując, iż pożądanie w nim mieszka i jakby ból, który się zmieni w rozkosz śmiertelną, jeśli kto z żywych posiadzie księżniczkę Minoe. Przegięła się jak pantera co oczy podłużne zmrużywszy, wyciąga się na słońcu i uczyniła ruch jakby chciała wejść w chłodne wody, zamknięte w marmurowym basenie. W tej chwili dobiegł ją jakiś jęk, tak straszny, jakby z nim razem pękło ludzkie serce, nabrzmiałe od bólu. Zadrżała księżniczka Minoe i odwróciła się ruchem szybkim, jak pyszny zwierz pustynny, który postyszał szelest albo nieuchwytny odgłos, jaki wydaje cięciwa, kiedy ją napina mocna dłoń strzelca.

Ktoby wtedy był ujrzał oczy Minoe, musiałyby oszaleć.

Niezmierny, nieludzki gniew, taki, który bez drgnienia powiek zabija, błysnął w źrenicach Minoe; stała naga, wyprostowana dumnie i patrzyła j w gąszcz zamorskich krzewów, rozdzierając straszliwym ostrzem swego spojrzenia splatane konary, za którymi ukrył się ktoś, dla którego zapewne życie nie było warte miedzianej monety, wytartej w rękach przekupniów z nad brzegu. Drżało z wściekłego gniewu całe jej ciało, które, niepomne wstydu, wyprężyło się w jednej chwili, jak do skoku; śmiertelna bladość pokryła twarz Minoe, a oczy powłókł męt, jakby mgła, za którą dzieją się rzeczy, na które spojrzeć nie może człowiek. A oto w tejsze chwili dojrzała wśród gąszczy liści żółtą, skrzywioną złym i chytrym uśmiechem twarz króla Azisa i oczy jakieś, zalane krwią i obłąkane; z poza mętu źrenic spłynęła na jej twarz niezmierna pogarda; księżniczka Minoe odwróciła powoli głowę i, nie podnosząc bezcennej swojej szaty, odeszła powoli naga, stąpając po złotym, ciepłym piasku, który się tulił do jej stóp, tak drobnych, jak stopy dziecka.

Król Azis dzierżył z wysiłkiem w ramionach jakby stężałe ciało dowódcy.

— Zbudź się, — rzekł — odeszła... Zbrojny człowiek jęknął po raz drugi i spojrzał na króla pijanym wzrokiem.

— Otrzyj krople potu z czoła — mówił dziwnie wzdurczonym głosem król. — Widziałeś księżniczkę Minoe... Powinieneś umrzeć, albo ujrzyć ja po raz drugi! Powiedz!

Dowódca dyszał ciężko, jak ktoś, który widział przed chwilą śmierć powoli przechodzącą; potem się zwałił do stóp królowi i mówić począł głosem osłabłym z wyczerpania:

— ...Co mam uczynić?... Niech się stanie wszystko, co się ma stać... O, królu... Czuję w mózgu szaleństwo... Co mam uczynić?

Król Azis stał nad nim, długo milczący. Potem głosem syczącym i złym, głosem takim, którym śmierć przemawia, mówił:

— ...Przerazisz miasto, śpiące na morskim brzegu... Niech lęk, straszniejszy od najstraszliwszego, stoczy im serca... Niech im dusze uschną z trwogi... Niech wszystkie oczy staną się obłąkane... Niech obłąd i śmierć zamieszka domy, w których oni mieszkali... Niech im obrzydnie słońce i morze, i bóg, i miłość... Niech każde słowo będzie przekleństwem i trucizną... Niech nie zazną snu, lecz niech im w dzień i w nocy serca wyją z trwogi i lęku...

I niech konają powoli... A wtedy Minoe przyjdzie do twego domu naga... Niech konają długo... A Minoe krew ci swoją odda i z serca jej pić będziesz, jak z czary... Podnieś się!

Król Azis krzyknął słowo swoje ostatnie, a wódz, jak dziecko posłuszny, błędnym na króla patrząc wzrokiem, powstał i począł iść przed siebie, jak senny. Twarz miał nie do

poznania zmienioną i tym naznaczona wyrazem, po jakim się poznaje człowieka, który widział tajemnicę; skurcz chwycił jego mocne szczęki, a wargi mu drgały, jak bardzo choremu. Szedł przez terasy i krużganki, przez marmurowe sale, chłodne, jak skalne czeluście, przez wzniesienia schodów i kurytarze, długie jak bajki o smokach, a wszędzie szło przed nim widmo księżniczki Minoe, nagiej, lśniącej, jak słoniowa kość, podającej obłąkanym jego oczom na pastwę swoje piersi, okrągłe i wznoszące się lekko z oddechem; kiedy ją (zda się) ujrzał nagle, przy marmurowej stojącą kolumnie i wyzywającą go niespokojnem, ledwo widnem drzeniem ud, krew zalała mu oczy, ruchem szybkim jak błyskawica dobył miecza z pochew i uderzył.

Szczęknięło żelazo, a kamień snop iskier rzucił mu w oczy. Byłby zabił Minoe, gdyby jej pierś prawdę błysnęła mu przed oczyma: oto raz ją ujrzawszy w gronie stu niewolnic, bez drgnienia na twarzy stojącą przy boku króla Azisa, zapragnął jak mąż pragnie kobiety, zaś teraz pragnął jej tysiąckroć razy więcej, aby ją mógł wlec po ziemi za włosy chwyciwszy, albo jej kazać, uwiązanej do siodła, biec za koniem.

Och, jak bardzo jej pożądał, miłując tę śmiertelną miłością, która jest zemstą za nic i za wszystko: za to omdlenie oczu, patrzących w nieznane, za uśmiech wiedzący rzeczy tajemne, za tę piękność, która śmierć zadaje.

Szaleństwo chwyciło go szponem za włosy, w przepaść ciągnąc. Wódz króla Azisa śmierć w tej chwili przysięgał miłowanej do oblędu córce i Azisowej, księżniczce Minoe za to, że ją widział nagą...

A kiedy przyszli z królem Azisem na terasę, skąd widać było śpiewające tysiącem błysków cudne nadmorskie miasto, rzekł mu król:

— Oto ci je oddaję, abys je przywiódł do szaleństwa. Odejdź!

Wódz przyłożył rękę do czoła i przyklęknął na prawem kolanie, potem bez słowa, chmurny jak nawałnica, co się wtacza nad obfitość i bogactwo urodzajnych pól, począł schodzić ku miastu, kuszącemu gwarem i szumem, brzęczącemu, jak pyszny ul, szemrzącemu jak gaj pomarańczowy, radosny słońcem, rozśpiewanemu jak gromada beztroskich młodzieńców, co ku winnicy zdąża, ująwszy krzepko dziewczki pod ramiona.

Tysiąc białych statków obsiadło błękitną przystań, jak stado białych mew, co zapadło na skały; wielka galera w tej właśnie godzinie przybiła do brzegu, z dalekich przybywszy mórz, i zdawało się, że jak zmęczony bachmat rycerski, co zdała przybieżał, bokami szybko robi, oddychając z trudem, niezmiernie znużona.

Wódz wszedł w miasto i tonął w jego rozgwarze...

A kiedy nadeszła noc i miasto, ukołysane szumem morza, do snu legło, wyszedł król Azis z cienistych komnat, gdzie przepędził skwarny dzień i zszedł w miejsce, skąd miał widok

na swoją stolicę. — Wśród mroku nocy dojrzeć można było gorejące jego oczy i płamę twarzy, podobnej pośmiertnej masce z wosku. Patrzył na miasto i czekał; oczy wyteżył i, oparłszy się o balustradę, stał niemy jak posąg i nieruchomy, zastygłszy w niezmiernym swym lęku, czekając, jak się jego lęk ulęknie śpiące miasto.

— Strzeżcie króla Azisa! — doleciał go z oddali krzyk, podobny raczej do smętnego wycia psa, takim przeciągłym i dziwnym zabrzmiał jękiem.

Król Azis głowę wtulił w barki, płaszczem się szczelniej owinął i jeszcze bardziej wzrok wyteżył; dolna warga zwisała mu nisko i drżała, jakgdyby wielki król cierpiał w chłodzie nocy. A oto drgnął i trząść się nagle począł cały, jak liść. Daleko w dole, w ciemnej otchłani nocy, wiszącej nad wodami, buchnął ogromnym słupem płomień, jakgdyby dziwnym cudem wytrysnął z wody, a im wyżej w górę się wznosił, tem niżej w tym samym czasie zapadał w morską czeluść; za chwilę trysnęła fontanna ognia gdzie indziej, potem dalej i jeszcze dalej, aż się cała przystań zalała ogniem, lejąc krwawy poblask na fale, które, wzburzone i jakby przerażeniem wzdęte, poczęły gasić nierozumnie słupy ognia, płonące w wodnej czeluści, łamiące się po uderzeniu fal na tysiące części; zaś na ich grzbietach, pokrytych krwawą pianą, jaką wyrzuca z pyska koń, zagnany na śmierć, szaleć począł pożar tak straszny, że się płat nieba zakrwawił, a morze hucząc z przerażenia, tłuc poczęło falą o brzeg jakby uciec chciało na ziemię przed tą nawałą ogni chwytającą węzowemi, kosmatemi od płowego dymu łapami płomieni, cudne, śnieżne statki, drzemiące na fali i śniące o dalekich wyspach.

Jak niebotyczna sosna płonął olbrzymi maszt galery, która setką wiosel drąc fale, przybyła przed nocą; płonęły łodzie, strojne w białe żagle, jak w motyle skrzydła, statki kupieckie, odęte worami zboża, brzuchate galery, dźwigające w przepaścistym wnętrzu błamy purpury i złoty kruszec, okręty wspaniałe, w wojennym czasie wiozące niezliczone hufce ku zagładzie obcych ziem, rybackie łodzie, czarną przykryte płachtą, jak wielkie trumny.

Niezmierny pożar objął je wszystkie olbrzymiem koliskicm, a straszliwy płomień, dojrzawszy przy swoim krwawem świetle żagiel nietknięty i biały, jakby blady z trwogi, rzucał się jak żbik, skacząc przez morską przepaść i wyszczerzonymi zębami darł tułów łodzi, rwał na strzępy żagiel, piał się po maszcie, gwizdząc i sycząc, radując się wśród piekielnego śmiechu.

Zawyło morze, jak ów olbrzym, któremu rozpaloną belkę zatopiono w sennem oku, potem, jakby dojrzawszy zagładę nieuchronną swego ptactwa, co spało w przystani, jęknęło przeciągłym, przejmującym, straszonym szlochem i lkać poczęło płaczem głośnym wspaniałego męża, co płacze po raz pierwszy w życiu, łez się nie zawstydzniejszy.

Oszalałe z trwogi mewy krzyżeć poczęły przeraźliwie, pędząc biciem skrzydeł dym czarny i ciężki, co się w oddali kładł na morze. Zanim minęła godzina, rojna niedawno przystań podobną się stała świeżo zaoranej niwie, pod której żywemi skibami legła jak w grobie duma nadmorskiego miasta, orle jego skrzydła i ramię jego tęsknoty.

Kiedy krwawa łuna uderzyła blaskiem w miasto i krwawa ognista wieść zawyła w ulicach, sennych i cichych, miasto spojrzało tysiącem przerażonych oczu i oniemiało.

Długa minęła chwila, zanim ktoś w tłumie, co nad brzeg wyległ i stał martwy, krzyknął nagle i, chwyciwszy się obiema rękami za włosy, drzeć je począł, skomląc i wyjąc jak szaleniec. Była to kobieta brzemienna. Odpowiedział jej z przystani nagły syk bólu: to świetna galera, drgając ostatnim słupem ognia, podobnym ręce topielca, który na dno pójdzie za chwilę, lecz ręką zmartwiałą woła jeszcze o ratunek, zapadła się z sykiem w rozwartą czelusć morską. Zadrzał tłum, zakołysał się jak ciemny las pod uderzeniem wichru i zawył. Czerwone od blasku ognia twarze ludzkie podobne były zmorom piekielnym; tysiące rozszerzonych z przerażenia, bólu i wściekłości oczu patrzyło bez łez; zacisnęło się tysiąc pięści; na tysiącu ust ukazała się piana. Tłum zawył tak, jakby własne ręce włożył w ogień i konał z bólu; potem się rozpoczęła noc zgrozy. Oto się jeden rzucił na ziemię i darł palcami wilgotny piasek nadbrzeżny; a inny, jakby oszalał nagle, wszedł w morze i wzrok utkwivszy w ukochana łódź, płonąca w oddali, szedł ku niej na ratunek, póki go fala nie uderzyła w pierś i nie zmiotła; inny śmiać się nagle począł przeraźliwym śmiechem i pędem biegł wzdłuż wybrzeża; a inny jeszcze, oczy utkwivszy w morze płomieni, zbielełami wargami poruszając z trudem, śpiewać począł tęsknie i cicho.

Huczało morze i tłum huczał, patrząc na ten stos płonący, na którym ujrział płonącego swego trupa. Cóż mu teraz życie? Tedy z sił opadał w miarę, jak straszny pożar słabnął, nie mając już, coby pożarł, bowiem ostatni żagiel, pysznym, jasnym ogniem płonący, wiatr zerwał i w górę go poniósł, że wyglądał jak orzeł szybujący, na którego padły falą krwawe blaski zachodzącego słońca. Tłum ludzi drgnął dziwnie, ile razy tylko trup świetnej łodzi, co znała drogę do wysp koralowych i do tych, przy których łowiono perły, zapadał w otchłań wodną.

Nikt nie płakał.

Gorze! Gorze!

Gdzieś daleko, poza zwałami czarnego dymu, zawył nagle grzmot, jak lew, którego zbudził pierwszy wiew nocy; głuchy łomot potoczył się ponad morzem i ucichł, jakby zamilkłszy z gniewu. Parność, ciężka jak rozpacz, opadła powoli i straszna cisza, zły i milczący poseł burzy, szła jak zły olbrzym, który, stąpając cicho i bez szelestu, nakrywa potwornie wielką, kosmatą łapą wszystko, co głośniej oddycha. Nagła błyskawica otwarła się na ponurem

niebie jak krwawa rana albo też jak straszliwe, krwią nabiegłe oczy, w niezmiernie szybkim, złem i wściekłym spojrzeniu patrzące, czy wszystko już na ziemi upadło na kolana z trwogi przed burzą, która piorunem zabije każdego, kto się nie pochylił, lecz prosto stanął, jak kolumna.

Tłum na wybrzeżu stał w śmiertelnym zdumieniu, zastygły już w rozpacz, umęczony nagle, potwornym cierpieniem; zdawało się, że noc burym płaszczem burzy idącej nakryta, zblednie od bladości ludzkich twarzy, podobnych pośmiertnym maskom z białego wosku, które lepi za srebrną sztukę monety dozorca trupów; gdyby mógł ukazać teraz w woskowym odbiciu serca tych ludzi, wpatrzonych w hulające morze oczyma ze szkła, ujrzałby każdy swoje serce trupio blade, bez kropli krwi, która zbiegła gdzieś w głąb najtajniejsza, jak nieraz na pustyni woda ze źródła ucieka nagle we wnętrze ziemi. Gdyby w tę nieszczęsną gromadę ludzką weszła teraz śmierć z łukiem swoim straszliwym w dłoni i poczęła szyc w nich strzałami, od których pada wszelki żyjący, które kruszą marmur i jadem zarażają dąb, że usycha, jak nędzne ludzkie ramię, nie byłby drgnął żaden z nieszczęśliwych, cóż może bowiem napęlić trwoga niemą rozpacz, mocniejsza od śmierci? Gorze! Gorze!

Warknął bliżej już grzmot, potem rykiem donośnym napęlił cały świat, a echo dudnić poczęło na czarnym sklepionym potężnie moście chmur, rzuconym nad morską otchłanią; zdawało się, że dziki, od lwa i pantery sroższy wódz, pędzi na ciężkim, czarnym koniu, rozbłyśnięty w tysiąc pierzastych płomieni, grom mając na szyszaku; porwał się z pod kopyt czarnego rumaka obłąkany wicher i padł znienacka i wściekle na las cyprysów i za włosy drzeć je począł i targać, aby się ugięły lub zeszyły z drogi burzy, płynącej dostojnie i groźnie jak król na wielkiej galerze. Morze, jęknawszy jak człowiek, wycięło się nagle i zapadło, tysiąc otwierając przepaści i jakby wyć poczęło z bólu, gdy wicher jak pług straszliwy biegł po nim i wyorywał bruzdy, a burza, jak siewca, siejący nieszczęście, szła za nim powoli, wielkimi krokami i rzucała pioruny w odwalone skiby fal.

Ohe! jak straszliwe było cierpienie morza!

W tej chwili krzyknął ktoś przeraźliwie w ludzkiej gromadzie, omdlałej na wybrzeżu: oto ciężka, wielka kropla dżdżu padła na twarz któregoś z cierpiących, a on mniemając, że to łza spłynęła mu wreszcie z pod powieki, otworzył z krzykiem swe serce, bowiem tylko łzy przywieść mogą do życia duszę ludzką, zamarła w szaleństwie bólu. Krzyknął, jak człowiek co się nagle obudził i oto błogosławione, dobre, choć z krwią pomieszane łzy poczęły im płynąć z oczu i nagle wielki szloch zmieszał się z łkaniem morza i z przeciągłym żalonym płaczem cyprysów, z graniem szklanych deszczowych strun i wyciem wicheru, bijącego w nie wściekłą dłońią jak w struny niezmiernej harfy.

Ohe! Jak straszliwe było cierpienie tych ludzi
Szaleństwo się rozpręgåło na ziemi i na niebie.

Był jednak człowiek, który w tej chwili nie płakał, albowiem niewiele dni temu król Azis rozkazał mu pochodnią wypalić oczy, które widziały zbyt wiele; człowiek ten stary miał dwa rozżarzone krwią węgle w miejscu, gdzie były oczy i niemi patrzył, spojrzeniem swem okropnem oblewając jak strugą krwi. On jeden stał niemy i on jeden nie darł włosów palcami, drgającemi w szaleństwie bólu. Oparł się na czyjś ramieniu i, wstąpiwszy na głaz, stanął nagle ponad tłumem i dziwnym, przejmującym głosem zawył jak wilk, albowiem nie było w głosie tym odezwu ludzkiego serca, które uczy człowieka słodczy mowy. Usłyszał go tłum mimo ryku burzy i podniósł na niego oczy, zalane łzami.

A człowiek ten, ręce w górę podniósłszy, jakby je do krzyża przybić miano, wołać począł głośno i strasznie, aby go usłyszano nawet w oddali; każde jego słowo podobne było potężnemu uderzeniu młota, kiedy płatnerz bije w rozpalone żelazo pancerza.

Wołał:

— Módlcie się, aby przyszła śmierć...

— Ohe! — jęknął tłum.

Grom uderzył w tej chwili z hukiem tak wściekłym, że im ziemia zadrżała pod stopami, a jęk ich rozplynał się w burzy...

— ...Lecz nie przyjdzie, bowiem śmierć mieszka na morzu, a skądże weźmie galere, albo łódź, albo statek, których niema? Skądże weźmie łódź tak szybką, jak mewa, aby przyplynać mogła dzisiaj, bo któż zechce ujrzeć jutro słońce?

— Ohe! Ohe! — płakał tłum, deszczem bity w twarz i któremu oczy zalewał potop.

— Ludu cierpiący! — wołał ślepy człowiek — i słońce może się nie zjawi! Kiedy miałem oczy, widziałem, że przyplywa co rano, położywszy się na płótnie żagla. Tysiąc łodzi wiozło je zawsze z morza, a któż je przywiezie jutro?

— Słońce! słońce! — przeraził się tłum.

— Koniec tobie, miasto nadbrzeżne, któreś było jak orzeł, koniec tobie, cudzie ziemi, bowiem umrzesz bez słońca...

— Słońce! słońce! — szlochał tłum.

— ...Jesteś jako orzeł, któremu odcięto skrzydła i oto zgnijesz na barłogu, ruszyć się nie mogąc. Śmierć twoja będzie w upodleniu, usychać będziesz z pragnienia i tęsknoty... Czy tam jest morze?

— Ohe! — krzyknął tłum.

— To nie morze tak płacze, to płaczą tam daleko wasze dusze, które zostały na morzu i nie mogą do was powrócić, o, ludzie nie mający ani rak, ani skrzydeł.

— Górze! górze! — płakał tłum, głośniejszą wołając śmiertelną skargą niżli burza, która, przepłynąwszy nad ich głowami, ostatnie poza siebie wtył ciskała pioruny.

Ślepy człowiek wołał:

— Zapytają jutro wasi bracia na stu wyspach: czemu nie przychodzą do nas ludzie z białego miasta? I będą czekali do wieczora.

Wyjdą w nocy na brzeg i będą czekali cło rana. Potem płakać będą, mniemając, że was pochłonęło morze, rzuciwszy na was burze.

I będą czekali wiele dni i wiele nocy, mniemając, że przyplyną inni; a kiedy nic ujrzą białego żagla, zaczną was przeklinać i nienawidzić was. A potem ich ogarnie niezmierny lęk, kiedy ujrzą, że są sami i szaleństwo ich chwyci. Oo! Oo!

— Niech przyjdzie śmierć! — zawył tłum.

— Nie przyjdzie! I to wam powiem: za wami są skały, a przed wami morze, ojciec wasz i matka, i pole, i źródło. Nadejść musi czas, że w szaleństwie głodu czerwona skała zostanie wam na pokarm... Gorze!... Niech się zlituje nad nami śmierć!

— Śmierci! śmierci! — błagał tłum.

— Nie przyjdzie! — krzyczał ślepy człowiek w przerażeniu — nie przyjdzie, bowiem śmierć zabiera ludzi żywych nie trupy... Szakale przyjdą ku nam... O, czemu mnie nie zabił piorun, który uderzył w morze? Oo! Oo! Ludzie bez rak, bez skrzydeł i bez żagla!... Zabijcie mnie, bom ja jest jeden niezmiernie między wami szczęśliwy, bom ja jest jeden, który nie widział płonących okrętów, a jeśli jest inny jeszcze ślepiec w gromadzie, zabijcie i jego.

— Gorze! gorze!

— Zabijcie wszystkie brzemiennie kobiety, aby ten, co się ma urodzić, nie widział naszej nędzy i wstydu i aby się nie urodził w szaleństwie, albowiem szaleństwo padnie na wszystkich, którzy staną na morskim brzegu i będą patrzeć w dal, tam, gdzie słońce wschodzi co rano. O, jakże straszna jest rozpacz tego, który widzi i pragnie... Niech każdy wyostrzy nóż, aby łatwiej pchnął go we własne serce, kiedy poczuje, że mu obłąd padł na duszę! Wyostrzcie noże, lub też niechaj nikt się nie waży spojrzeć w stronę morza. Słyszycie, jak płacze morze?

— Morze! Morze!

— Płacze jak człowiek... Niech każdy wosku naleje sobie w uszy, aby nie słyszał tego płaczu, bo ile razy usłyszysz westchnienie morza, tyle razy pęknie w nim serce...

— Oo! Oo! — płakał tłum mężów, którym nie była straszna wojna, ani burza, ani śmierć, łkając jak gromada dzieci, co przyszła na grób matki.

W tejże chwili ślepy człowiek począł przed sobą wodzić dłońmi, jakby czego szukał. Potem rzekł:

— W której stronie jest złoty dom króla Azisa?

— Poza tobą! — krzyknął tłum.

Wtedy się powoli odwrócił ślepy człowiek, ręce wznosił nad głowę i począł wołać słowa tak straszne, że były jakby pokryte trądem i jakby oślizgłe od krwi.

— On jest, który to uczynił! Oniemiał tłum w nagłym przerażeniu.

— Milcz! — krzyknął ktoś głucho — umrzesz!

— On to uczynił!... I niechaj za to nie umrze nigdy, lecz niechaj kona tak długo, jak długo jedna kość z niego zostanie na pastwę robactwa...

Niech mu serce zeżre rozpacz... Niech w nim zgnije mózg... Niech nie zazna spokoju ani w dzień ani w nocy, a sen niech nigdy nie zamknie mu powieki... Niech zemrze w jego oczach jego potomstwo, pomiot psi... Niech go ukarze morze i niech go wyrzuci ziemia, jeśli się w grób położy... A jeśli umrze, niech zmartwychwstanie, aby skonać po raz drugi... Niech go omija trucizna, aby cierpiał i niech się na piersi jego zwinie każde ostrze, aby wył z bólu, umrzeć nic mogąc... Niech usycha powoli i przez wiek cały, jak drzewo zjedzone robactwem... Niech nie usłyszy ludzkiej ino wy ani śpiewu, ani szumu morza, ani szumu drzew... Niech go zdradzi przyjaciel, a dziecko własne niech mu napluje w twarz... Niech w nim wiecznym pragnieniem dusza się pali, jak się paliły wasze lodzie... Niech mu się wino zamienia w żółć, a jadło niech się zamienia w kamień... Niech żyje wiecznie... wiecznie... wiecznie... O!...

Rzekłszy to, dobył noża z zanadrza i szybkim ruchem wbił go sobie w piersi.

— Och! — jęknął tłum w nagłym przerażeniu, lecz umilkł natychmiast, jakby chcąc miejsce uczynić dudniącym w echu słowom ślepego człowieka, aby bez przeszkody mogły dobiec aż przed żółtą twarz króla Azisa.

Ślepy człowiek, krwią własną obryzgawszy ostatnie swoje słowo, które nie miało jeszcze czasu, aby polecieć od jego ust zbyt daleko, zwałił się sztywno w dziesiątki szeroko rozwartych ramion, jak na śmiertelne nosze; owinęły go w tejże chwili łagodnie i objęły miłośnie, jak piastunka chore obejmuje dziecko i tłum poniósł go ku miastu, wśród niezmiernej, dziwnie złej i dziwnie drgającej ciszy. Tylko morze zawyło głośniejsze i wydało z siebie ryk potworny, jak dziki zwierz pustynny, w którego dyszącej gardzieli utkwi zniecała wyrzucona, jadowita strzała łucznika, i jak potem wspaniały zwierz, drgnąwszy kilkakrotnie, wali się bezsilny, tak samo morze, (błogosławione po trzykroć i siedm kroć razy!) zdjęte dreszczem, nagle jakby zapadło w siebie i ucichło, płacząc gdzieś w głębi, gdzieś we wnętrzu wieczyście

oddychającej piersi, lecz spokojne na twarzy, jak człowiek spokojny zgryzotą, na którą niemasz już rady. Zdawało się, że śpi, ukrywszy w bezdennym grobie ptactwo białych łodzi.

Westchnęła wtedy noc głęboka i tak spokojna, jak ów przybysz z poza gór, co czarnym zawsze okryty płaszczem w nadbrzeżnym mieście filozofji nauczał, a miał głos cichy i słodki, ile razy mówił o śmierci; noc niema, a przecież śpiewająca nieznanymi głosy; smutna, a tak łaskawa i dobrotliwa, jak wdowa cała w czerni, co słońce, kochanka swego ułożywszy w grobie, idzie pomiędzy nieszczęśliwych pocieszać, mówiąc: może nie umarło słońce, tylko śpi! — noc, włóczęga poczciwy i dobry, w sakwie dziurawej, tkanej z mroku, nosząc; gwiazdy i jaśniejsze od gwiazd, sny o szczęściu; oto stąpa cicho po sennej lali i wzdycha, jakby się jej zakrwawiło serce na widok ludzkiego nieszczęścia; pożar tysiąca łodzi oślepił ja przedtem i blask łuny odegnał ją na morze, wiec idzie teraz, pochylona nad odmęttem i łowi łza, nabjegłemi oczyma tu belki, purpurowa malowane farba, tam żebro okrętu, ówdzie płat żagła, chuście śmiertelnej podobny. Oczy ma stare i niedowidzi, więc nagle przystanawszy, noc długie swe, ręce z przejrzystego uczynione mroku, zanurzyła w gęstwę skłębionych chmur i z trudem wydzwignęła z pomiędzy nich księżyc, jak latarnię ciężką, ze szczerego złota ukutą; przy jej świetle spojrziała na straszne dzieło i zblednąć musiała w tejże chwili noc, opiekunka ludzi strapionych, gdyż bladeść ogromna powlokła świat cały, morze i góry. Poruszyło się morze niespokojnie przez sen, poczuwszy światło, a noc iść poczęła szybko, coraz prędzej, coraz wiece zboląła, coraz niżej chyląc się od wielkiej boleści przerażone oczy zakrywszy opona mroku, albowiem twarz jej śniada sinieć poczęła nagle od gniewu i zgrozy.

Wtem, wśród śmiertelnej ciszy, jakby ptak zakwilił: to muzyczne narzędzie ozwało się boleśnie jakby ręka, co je targnęła za struny była bezsilna i słaba. Na kamieniu, rzuconym na brzeg prze? fale, kiedy były w gniewie, siedział człowiek młody, w tym wieku będący, w którym jeszcze człowiek ma łez wiele i cenić ich nie umiejąc, pozwala im płynąć z oczu bez liczby, nie zważając, iż przyjść może kiedyś pora, kiedy łza jedna więcej znaczyć może, niżli wór skórzany, pełen diamentów; siedział bez ruchu i słowa przez całe godziny i dopiero teraz, kiedy księżyc posrebrzył fale, ożył, jakgdyby zagadał do niego smutny blask; dzieje się bowiem nieraz, że człowiek zmartwiały w boleści otwiera duszę, której wrota ból zatrzasnął — poczuwszy litościwą rękę, położoną na głowie, pełnej szumów; więc ożywszy, spojrział szerokiemi oczyma na śpiące, troską uśpione morze, bezwolnie uderzył w struny i począł się skarżyć, tak cicho, jak się fale skarżyć zwykły, albo też jak chore dziecko, któremu uczyniono krzywdę.

Oto jest skarga młodzieńca, który jeszcze bezcennych łez liczyć nie umiał:

“Na koralowej wyspie mieszka kochanka moja.

Kiedy ją ujrzą mewy, stojąca na brzegu, lecą, aby ucałować jej usta.

Każda koncha morska śpiewa szumem o niej, a bursztyny żółkną z zawiści, widząc ją nagą wśród fali.

Na koralowej wyspie mieszka kochanka moja.

Co wieczór płynąłem do niej na wątlej łodzi, a śmierć dęła w mój żagiel, albowiem śmierć mieszka na topieli i chwyta łodzie.

Lecz cóż mi była śmierć! T cóż mi była burza!

Na koralowej wyspie mieszka kochanka moja.

Czekała na brzegu, wypatrując oczy, kiedy ku niej płynęła moja łódź.

Całowałem jej oczy, które patrzyły na morze i całowałem jej piersi, które dyszały trwogą.

Na koralowej wyspie mieszka kochanka moja.

Stoi teraz na brzegu i płacze, a któż jej łzy zcałuje z oczu?

Umiera teraz z lęku, a któż jej powie, że ją miłuje?

Nie przyjdę ku tobie, albowiem zastłyształ o miłości naszej król Azis i spalił moją łódź.

Oo! Oo!

Powiedz mi, a rzucę się w morze i popłynę ku tobie...

Lecz kiedy cię ujrzą moje oczy, będą już martwe.

Na koralowej wyspie mieszka kochanka moja..."

Łkanie wylęgło ostatnie te słowa i niezliczone łzy poczęły padać w morze.

Małe łzy w niezmierzone morze.

Kiedy ruda pożoga trysnęła pierwszym błyskiem z morza i kiedy w jakimś strasznym cudzie fale żywym ogniem płonąć poczęły, jakby urągając ludzkiemu rozumowi, wpatrzył się w ogień król Azis, jakby nie mógł oderwać od nich oczu i, zdawało się, pił je oczyma, chłonąc je jak ogniste wino. Z trudem podniósł drżące ręce i wyciągnął je w stronę daleko szalejących płomieni, jakgdyby je chciał ogrzać; usta rozchylił jak człowiek, czekający rzeczy strasznej, która się za chwilę dokona, oczy miał nieruchome, tylko rozwarte nadmiernie. Zdawało się, że to on, król Azis, płonącemi swemi oczyma podpala okręty, których nie tknął jeszcze pożar i że to on przenosi oddechem niezliczone, szybkie, złe, wijące się robactwo iskier z jednego żagla na drugi.

Tle razy zapadał się zjedzony płomieniem, nagłym bólem wzdęty kadłub okrętu, tyle razy po twarzy króla Azisa przebiegał dreszcz plugawy i zły, a usta wykrzywiały się jakby w uśmiechu; oczy tylko gorzały bez zmiany i siały ogień. Dym się przywłókł aż tu, do stóp

królewskiego pałacu, więc król Azis chwycił go nozdrzami i milsza mu była w tej chwili ta woń gryząca, niż woń dziewczęcego ciała, pachnącego cudniej niż róże.

Król Azis przechylił się poza obramowanie terasy i słuchał.

Morze huczało straszniej niż kiedykolwiek, lecz król Azis nie słyszał ryku morza. Wyla pożoga, rwąc żagle na strzepy, lecz król Azis nie słuchał wycia pożogi.

Poczerwieniało luną niebo, a król Azis stał wciąż nieruchomy, jak posąg; czekał jakiejś rzeczy strasznej i nie umiał jej nazwać, pragnął jej tylko tak bardzo, jak niczego dotąd w życiu. Musiał tem pragnieniem wysilić mózg, gdyż nagle stała się rzecz dziwna na twarzy króla Azisa; jakgdyby luna pożaru rozgrzała zakrzepłe w lód rysy, twarz króla Azisa, jak maska woskowa, nagle topniejąca, zmieniła kształt, kurcząc się dziwnie i szybko. Twarz królewska wykrzywiła się nagle bólem, strasznym zapewne, gdyż król Azis w tejże chwili palce wpił we włosy i jęczeć począł jękiem tak okropnym, jakiego nie zdoła oddać słowo ludzkie.

Potem ręką zasłonił oczy i tak na oślepiec począł, jak człowiek, który ucieka przed zbójcą, co miecz wzniesiony trzyma nad jego głową.

Biegł, jak szalenciec, który dojrzał swoją marę, co go nocą nachodzi; gnało go przerażenie, które wypełzło niewiadome skąd i lęk, który król Azis dojrzał przy świetle pożaru. Gorze! Gorze!

Oto z morskiej otchłani wylał się strach, i sięgnął ręką aż do twarzy króla Azisa; z potopu płomieni zdołał ująć lęk i, pełzając jak wąż, zajrzał w królewskie oczy, czekające, patrzące w noc spojrzeniem, straszniejszym, niż śmierć.

Król Azis leżał na marmurowych stopniach schodów, rękoma opasał głowę i jęczał; z ust wybiegła mu piana i sączyła się lepkiem strumieniem na królewskie pierś:.. Nikt nic widział króla i nikt nie słyszał jego głosu w tej chwili, a jeśli go kto przez mrok ujrzał nagle, uciekł pewnie, twarz zakrywszy połą płaszcza, aby własnej nie ujrzeć śmierci. I nikt też nie widział, jak król Azis poczołgał się wśród nocy do komnat, siedmkroć razy bardziej przerażymy, niżli był przedtem, śmiertelnie chory od nieznanego lęku, który w nim mieszkał, jak czerw w trumnie.

A kiedy był dzień, stanął przed królem Azisem dowódca wojsk.

Zadrzał, spojrzawszy na twarz królewską, nie miała już bowiem barwy, do niczego niepodobna. To nie była twarz żywego człowieka; już pooraną, jeszcze bardziej poorał ból, tępy rylcem w ludzkiej twarzy ryjący swe nazwisko, żółtą i wyschłą jeszcze bardziej wysuszyło nieznane cierpienie, wychodzące na łów nocą.

Król Azis spojrział na dowódcę tem spojrzeniem, które jedynie przyrównane być może do bezgłośnego pchnięcia sztyletu, godzącego bez pomyłki wprost w serce, więc zadrzał

dowódca i dłoń nieporadnie położył na czole, na znak przywitania, ukląkłszy równocześnie na jedno kolano.

Azis nie zdejmował zeń okropnego ciężaru swego spojrzenia, lecz patrzył uporczywie, nie mówiąc słowa, nie poruszywszy ręką, ani brwią, ani rzęsą i gdyby w tej chwili stał przed nim tchórz lub zdrajca, byłby oszalał, poczuwszy we własnym sercu ostre jak sztylety, oczy królewskie.

— Panie! — szepnął dowódca, jakby błagając, iżby król Azis oczy powiekami nakrył.

Wtedy król, jakby mu łaskę wielką uczynił, odwrócił powoli głowę i patrzył zgasłym nagle wzrokiem na morze i na miasto w śmiertelnej pogrążone ciszy.

— Czemu mnie nudzisz? — rzekł król Azis, na dowódcę nie patrząc — coś uczynił?

— Poniosłem trwogę w miasto.

— Ty?

— Jam to uczynił, królu Azisie

— Widziałem tylko, że spaliłeś okręty.

— Tak mi rozkazałeś, panie!

— Widziałem ogień i widziałem dym. Widziałem ciebie, rzucającego płonące głownie na śpiące łodzie, czyniłeś to dobrze i za to otrzymasz dwie sztuki złota niewytarte na brzegach.

— Królu Azisie!

Dowódca podniósł ręce ze zdumienia w górę jak człowiek, który uszom własnym nie dowierza; a król Azis mówił głosem niezmiennie spokojnym, lecz każde jego słowo dźwigało we wnętrzu swojej ciszy piorun i ogień, burzę i gniew, i grozę i śmierć.

— Dam ci trzy sztuki, jeśli twoja chciwość krzyczy teraz przez ciebie. Cóżes ty uczynił, psie? Spaliłeś łodzie... Ile?

— Więcej niż tysiąc, wszystkie, które były w przystani.

— Czy było na której łodzi ludzkie serce?

— Panie!

— A ja ci kazałem przy tym ogniu spalić na popiół ich serca. Okręty spalić może niewolnik, który karmi psy. Czy potrzebny jest do tego znak dowódcy wojsk króla Azisa?

— Panie! Panie!

— Czemu jęczysz? Powiedz mi, co uczynili, widząc pożar?

— Łamali ręce w śmiertelnym strachu.

— Źle widziałeś, chociaż było jasno od pożaru; strach nie łamie rak, to była rozpacz, złe przyzwyczajenie małych ludzi.

— Płakali, a łzy ich były z lęku.

Mózg twój jest mały, chociaż ramię twoje powali rozhukanego konia, wiedz tedy, że lęk jest z kamienia i nie zna łez. Widziałeś marmur płaczący albo skałę? Nie znasz łez i sądzisz tedy, że trwoży się ten, co płacze.

— Milczeli potem posępnie, albowiem trwoga chwyciła ich za gardło, tak, że mówić nie mogli.

— Nie mieli czasu na słowa, albowiem zemstę knuje się w ciszy, a w milczeniu przysięga.

— O, panie! Mówił potem jeden z nich...

— Co mówił?

— Złorzeczył tobie... W szaleństwie, królu Azisie...

— Czy rozumiałeś, co mówił ten człowiek? — Zrozumiałem, panie.

— Więc nie był szalony. Co mówił?

— Wołał, że ty panie kazałeś spalić okręty.

— Więc był rozsądniejszy od nich wszystkich; czemu go obraziłeś nazwaniem szaleńca? Powiadasz, że mi złorzeczył, więc zapewne już nie żyje?

— Rzekłeś, panie.

— To jest jedno, co uczyniłeś rozsądnego tej nocy.

Dowódca pobladnął.

— Panie mój... — wyszeptał.

— Prosisz o czwartą sztukę złota?

— Panie mój — mówił dowódca — to nie ja go zabiłem...

Król Azis ściągnął nagle brwi, lecz nie spojrział na swego sługę.

Któż go zabił? — zapytał z niepokojem.

— Lęk!

— Psie! krzyknął król Azis — powiedziałeś to słowo dziś tysiąc razy i zawsze było skłamane i puste. Kto go zabił?

— Zabił sam siebie... — wyjęknął dowódca głucho.

Wstrząsnął się król Azis w nagłej trwodze.

— Aaa! — stęknął dziwnie przejmująco. A dowódca, mówił:

— Złorzeczył tobie, więc przeraziwszy się słów własnych, utopił sam nóż w swoim sercu, dlatego powiedziałem, że go zabił lęk. Trwoga zmała mu rozum, więc uciekł przed ulą w śmierć.

Aaa! jęczał król Azis.

I trząść się począł jak w febrze; spojrzął z niezmierną pogardą na swego wodza i mówić począł słowa urywane, jakby chore i jakby bezsilne; nie miał już tyle siły król Azis, aby słowa jego były wściekle.

Mówił:

— Kat ci nie odejmie głowy... Głupcze!... Szakał ciebie nie tknie... Czemu ten człowiek, który się zabił, nie wstanie i nie plunie ci w twarz, za to, żeś go obraził? Czy ty wiesz, co on uczynił? Nic mógł sam walczyć ze mną, więc posłał swoją śmierć... To był człowiek straszny... Ty mówisz, że on się zabił z trwogi? On zabił trwogę, jeśli szła na miasto, aby nie weszła w ulice... Jego śmierć przyjdzie tu, aby mówić ze mną... Czy masz miecz dość ostry, by zabić śmierć?... Krew, która wybiegła z jego piersi, spłynęła w ich serca i pożywiły się... Ich oczy widziały krew i oszaleją z zemsty... Słyszysz, psie?... oni gotowi ujrzyć teraz to, co było zakryte... Czemuś ty go nie zabił? On się chciał zabić, albowiem to musiał być mędrzec i wiedział co czyni. Czemuś ty go nie zabił?

Dowódca leżał u stóp króla Azisa i tarzał się, czołem bijąc o kamień; ujrzał, że nadaremne było to, co uczynił.

— Wstań! — krzyknął nagle król Azis.

Podniósł się zbrojny człowiek; twarz miał blada i zmienioną przez rozpacz. Król Azis patrzył już zimno i mówił z nienawiścią.

— Lichy jest wszelki człowiek, a trwoga przychodzi zewsząd i znikąd; cień na ścianie straszniejszy jest nieraz od lwa, lecz lew jest nieraz straszniejszy od ducha, który wyszedł z grobu. Bacz dobrze, co ci powiem... Miasto moje musi skonać w trwodze... Powtarzaj to sobie głośno w dzień i w nocy, a może cię wtedy oblęd ogarnie i w oblędzie uczynisz rzecz straszną, która ich przerazi. —Miasto moje musi skonać w trwodze. Lęk je musi okryć, jak trąd i jak zaraza. Rzekłem. Precz!

Dowódca spojrzął na króla przerażonym wzrokiem.

— Przyjdiesz do mnie powiedzieć, że poszaleli, albo też, że miasto wymarło. Precz!

Powolnym krokiem odszedł król Azis, z głową, pochyloną na piersi, a wszedłszy do komnat rozkazał, żeby się nikt nie ośmielił przerywać samotności króla, cokolwiekby się działo na ziemi, na morzu i na niebie. I rozkazał także: jeśli przyjdzie dowódca za dni niewiele, aby go wpuszczono we dnie, czy w nocy, a raczej w nocy, niż we dnie.

Nad marmurowym pałacem króla Azisa zawisła cisza, jak wielki ptak nocny, mądrymi świecący oczyma, na bezszelestnych skrzydłach się wazący.

Nikt nie zagrał na harfie ani na lutni, nikt głośno nie ważył się powiedzieć słowa, nasłuchując tylko w utrapieniu, czy nie zawoła król Azis, w dłonie klasnąwszy, albo laska z

hebanu uderzywszy zlekka w złoty dzwon w jego wiszący komnatach. Wszyscy w pałacu mieli pomarszczone czoła, a oczy ich patrzyły niepewnie, szpiegują się wzajem, czy nie dostrzegą w sobie wzajemnie cicho pełnącego węża zdrady. Chodzili tak błędnie i cicho, jak zwykli chodzić ludzie, mając; w domu trupa.

Stało się tego dnia, że niebaczny niewolik upadł na miecz i wnętrzości wypruł sobie z brzucha; ból jął nim targać tak straszny, że mu spopieliała czarna twarz, a ręce rwały w szaleństwie cierpienia trzewia, które z niego wyszły; chciał krzyżeć, lecz stanęło nad nim kilku zbrojnych w włócznie, w jego wymierzone serce. Już konał lecz bał się jeszcze śmierci, więc nie krzyknął i godziny całe umierał w straszliwym milczeniu, głośniejszym tysiąckroć razy, niżli najsroźsze wycie, aby król Azis nie usłyszał krzyku.

Ohe! jak strasznie jest cierpieć, milcząc. Na progu królewskich komnat leżał niewolnik olbrzymi i tak silny, że na plecach podnosił kwadrygę, pierś zaś miał tak szeroką, że drzwi niemi wypełniał, nikt tedy wejść nie mógł do komnaty króla, chyba przez serce niewolnika, zbyt dzikie, aby je umiał otworzyć ktokolwiek. Człowiek ten znał tylko głos pana i byłby zabił nawet siebie, gdyby się odwrócił twarzą ku komnatom, mniemałby bowiem, że oszalał i idzie zadusić króla Azisa. Kto przejść musiał mimo drzwi królewskich, omijał je zdała i przebiegał chyłkiem, jak się czyni, przechodząc mimo domu, w którym jest zaraza; za każdym szedł jak cień krwią barwiony wzrok czuwającego niewolnika. Dopiero daleko, za węglem pałacu, w ukryciu, gdzie słuchać mogły tylko kamienie, dyszał szept, mówiący:

— Co czyni król Azis?

— Uczy się umierać...

— Jeśli prawdą jest, co mówisz, pójdę zabić się w jego oczach, aby mu pokazać, co należy uczynić, aby skonać.

Mówił szept inny:

— Król Azis czyta księgi...

— Czy księga może zabić człowieka?

— Zaprawdę, pytasz dziwnie.

— Jeśli tego uczynić nie umie, nierozumna jest to księga...

Mówił szept cichszy jeszcze:

— Odważniejszy jest król Azis od lwa, tygrysa i pantery...

— Czy dlatego, że spalił łodzie?

— Nie, lecz dlatego, że się waży być sam z sobą i nie boi się siebie.

— Milcz!

A szept z pod palm, z ich szumem zmieszany, mówił:

— Wiesz, bracie mój, czemu ziemia nosi króla Azisa?

— Z trwogi?

— Nie! z ohydy, albowiem gdyby umarł, musiałyby go wziąć w siebie.

Zaś przy fontannach, wiecześnie szemrzących, szemrał szept inny:

— Boisz się króla Azisa?

— Nienawidzę— go!

— Więc go się boisz. Ukochaj go, a wtedy go zabijesz bez trwogi, chcąc, aby był szczęśliwy.

— Mowa twoja jest dziwna.

— Zamilcz, ptak jest w pobliżu i słyszy. Ohe! jak straszne jest słowo ludzkie, mówione szeptem!...

Cisza krążyła dookoła i uczyła ludzi zła; nie było w marmurowym domu Azisa ludzi dobrych, albowiem od wielu lat nikt tu nie śpiewał, byli nieszczęśliwi i śnili o zemście, słodszej niż szczęście, śpiewając o niej rozmarzonymi oczyma. Nieraz ponury człowiek z azisowego pałacu usnął pod cieniem drzew i wtedy, we śnie głębokim, promieniała jego twarz, albowiem widział krew Azisa, spływającą szerokim strumieniem w morze, a kiedy się obudził i poznał, że uradowało go widmo, patrzył z przerażeniem dookoła, czy kto nie widział jego snu. Teraz spoglądali ciekawie i trwożnie na przybytek królewski, pytając siebie tajemnie, co może uczynić król Azis: czy gotuje nową zbrodnię, czy umiera, czy czyta znaki w księgach, wykładających tajemnicę złego i dobrego.

Nikt nie wiedział, co w dni te czynił król Azis.

Świat cały, zdało się, oniemiał zadumany. Słońce zachodziło dziwnie, całe we krwi i smugach, podobnych olbrzymim mieczom, sięgającym od gór ku morzu i zapadało w przepaść jakoby niechętnie, nie chcąc zostawiać ludzi w ciemności, z której każdej godziny mógł wyjść król Azis.

Złe to były noce i smutne.

Nikt nie pił wina i nikt nie grał na harfie; omijali się zdała kochankowie, albo też, usiadłszy obok siebie, przez całą noc tak trwali, nie wymówiwszy słowa; jednej nocy znalazła straż dwie cudne niewolnice, które, ległszy na marmurowych stopniach, płakały cichutko splecione w uścisku, a zapytane, nie wiedziały czemu płaczą; innej nocy tygrysy w królewskim zwierzyńcu zawyły nagle straszliwym, jakiejś okropnej tęsknoty pełnym rykiem; a innej znowu wpadło w smutne ogrody królewskie jakgdyby echo niezliczonych dzwonów. Dziwna groza powiała poprzez dusze ludzkie; podczas nocy tych nikt nie spał, a jeśli kogo zważyło zmęczenie, podstępnie mu na oczy zarzuciwszy sieć snu, jak zapaśnik, co siecią innego pęta zapaśnika,

wtedy człowiek ten precz ciskał miękkie wezglowie, a pod głowę kładł kamień lub twarda tarczę, aby nie usnął zbyt mocno. Nikt zaś nie wiedział, dlaczego to czyni; zdawało się, jakoby cisza chodziła wśród nich, jak człowiek, co ostrzec przyszedł przyjaciół i swym szeptem tajemnym, podobnym do głosu dzwonu, dzwoniącego w morskim odmęcie, albo też do śpiewu ludzi umarłych, odlatujących w powietrze — nachyliwszy się nad śpiącym, mówiła: “nie dowierzaj nocy! nie dowierzaj nocy!” Noc zaś, jak człowiek zły i podstępny, albo też jak szpieg, w zasadzkę wiodący, koła im serca i tuliła ich w objęciu, mokremi od rosy rękoma zawierając im powieki.

— Strzeżcie króla Azisa! — wołał strażnik.

— Azisa!... — wołało echo i milkło szybko przerażone, siebie samo usłyszawszy.

Kiedy po takiej nocy pierwszy ukazał się promień, westchnął ten i ów, jak ktoś, z którego zdjęto niezmierny ciężar i wtedy patrzył każdy w stronę marmurowego domu i rył spojrzeniem kamienie, aby dojrzeć, co się dzieje poza nimi. Nikt nie wiedział.

Pałac stał cichy jak grób, w którym śpi tajemnica.

Siódmego zaś dnia, niewolnik, stojący na straży przy królewskich drzwiach, krzyknął bardzo głośno, upadłszy na kolana, twarzy ku komnatom:

— Królu Azisie! Nikt nie odpowiedział.

— Królu Azisie! — wołał niewolnik głosem przeciągłym. Potem dodał:

— Powrócił sługa twój i z jękiem ciebie błaga, abyś go ujrzał.

Musiał w tejże chwili dostrzec króla, gdyż się na kolanach poczołgał, odchodząc.

Król Azis wyszedł z komnat i nagle, zdawało się, że na rozdrzany słoneczną światłością dzień padł czad, tak ponura była twarz królewska. Znać było, że król idzie, ostatnich z siebie dobywając sił, które z niego wypilo nieznane znużenie; szedł powoli, prosto ku dowódcy, co stanął pod marmurową kolumną, patrząc przed siebie rozgorzałemi, oszalałemi na poły oczyma.

Stanął przed nim król Azis bardzo blisko, spojrzał na niego pilnie i uważnie i głosem, który jakby nie z królewskich pochodził piersi, lecz dobywał się z ziemi, zapytał:

— Czy żyje jeszcze jeden człowiek, który się nie uląkł króla Azisa?

Dowódca chciał mówić, lecz mu tylko usta zadrgały.

Król Azis pytał:

— Czy jest w mieście jeszcze jeden człowiek, który nie oszalał z trwogi?

Rozpacz trysnęła wraz ze łzami z oczu dowódcy.

Ohe! jak bardzo spodlić się może człowiek!

Król Azis na chwilę oczy powiekami nakrył, jak ten, co poczuł nagły, śmiertelny ból, a nie chce krzyknąć; lecz się ukoił po chwili i rzucił w pysk dowódcy jedno ciche słowo:

— Mów!

Dowódca mówić począł powoli, jakby słowo każde ciągnął sobie z gardzieli wraz z kawałami ciała. Król Azis, jakby słów tych nieciekawym, wyjął z zanadru sztylet, z ogromnym zielonym szmaragdem na głównej i jakby dla igraszki, przytknął ostrze do piersi nieszczęsnego męża, szukając serca; a znalazłszy je, szepnął ciszej jeszcze:

— Mów!

Drgnął dowódca, silniej do marmurowej przywarł kolumny i rzeźić począł:

...Stało się pierwszej nocy, xc wzięwszy ze zwierzyńców twoich, panie, dwanaście tygrysów, puściłem je wolno na ulice miasta... Rozpacz padła na miasto... Szaleństwo... zginęło wielu... Lecz i tygrysy...

— Ile?

— Wszystkie, panie... Strzelali z łuków, a strzały były zatrute.

Nie drgnął król Azis, tylko silniej ująwszy głównię sztyletu, pchnął go lekko, tak, że dowódca poczuł zimne ostrze na ciele.

Mów! — rozkazał król Azis.

— ...Chciałem ich znękać... kazałem bić we dzwony, aby sen daleko odleciał od miasta... Nikt nie usnął w tem mieście... Aaa!

W tej chwili poczuł ukłucie szybkie, jak ukąszenie żmii. Zbladł z bólu, lecz, dysząc ciężko, mówił:

— ...Nie było dla nich dnia bez męki, ani nocy... Znalazłem największego w więzieniu zbrodniarza i ustanowiłem go dla nich sędzią... Królu Azisie! Ten człowiek sądził sprawiedliwie... Aaa!

Bładość niezmierna okryła twarz dowódcy i oczy zaszyły mgłą.

— Mów! szepnął dziwnie król Azis i pchnął sztylet.

— ...Kazałem zburzyć tamy i zasypać studnie... W chlebie ich była trucizna... Nie jedli... cierpieli głód...

W tej chwili ukląkł na jedno kolano, albowiem król Azis, w oczy jego mętne patrząc, ostrze sztyletu posunął ku sercu.

— Mów! — rozkazał.

— ...Czyniłem straszniej... Czczą posag kobiety... Rozstrzaskałem go mieczem... Uczyniłem rzecz okropną... Aby się ulękli... Szaleństwo... Zabiłem bóstwo...

Król Azis drgnął.

— ... Wtedy najpiękniejsza z ich kobiet... Oo! oo!... stanęła naga na ołtarzu... Wszyscy upadli na twarz i uczcili ją... Stanęła naga... jak Minoe... Oo!

Król Azis pchnął w tej chwili mocno i tknął serca, albowiem nieszczęśliwy głową w tył rzucił straszliwie i zwał się martwy, jakgdyby weń uderzył piorun.

Azis stał nad nim długą chwilę, jakby się nie mógł ocknąć i jakgdyby ważył nieprzytomnie rzecz całą; potem się powlókł powoli, z głowa opuszczona na piersi, jak idzie człowiek, co za marami stąpa i myśli o sprawach tajemnych, które śmierć rozrządza. Szedł jak duch, a jednak był to człowiek żywy, albowiem długi cień szedł z nim. Ten cień świadczył, nikt więcej.

Powietrze drgało upałem, a król Azis czuł mózgiem lodowe przenikliwe zimno, które ścięło w nim wszystko; gdyby go w tej chwili stojący na straży żołdak ugodził włócznią w piersi, nie poczułby bólu król Azis, szedłby dalej powoli, nie wiedząc, dokąd zdąży; lecz gdyby żbik przyczajony ujrzał go w tej chwili, umknąłby w gąszcz, jak zwierzę płochliwe i łagodne. Zdawało się, że cyprysy szumieć przestały, kiedy mimo przeszedł król.

A on szedł. Stanął wreszcie przed ogromnym murem, który zamykał ogrody i w tejże chwili, jakgdyby się opamiętał król Azis, otrząsnął się z potwornej zadumy, która ani jednej myśli wyprząść z siebie nie mogła i powracać począł ku pałacowi tym samym krokiem, którym stąpa człowiek chory, albo idący na śmierć skazaniec.

Skinął dłonią, a z poza kolumny wyszedł niewolnik, rosty i pyszny, albowiem był królewskiej krwi w swoim kraju i lwy zabijał oszczepem. Szeptano przy fontannach, iż księżniczka Minoe, upodobawszy sobie jego postać i spojrzenie śmiałe, jak spojrzenie wolnych ludzi, kazała go siec różgami do krwi, dopóki nie omdlał. A wtedy całowała jego usta i oczy, którym nie wolno było widzieć, więc musiały zejść bielmem omdlenia. Rzekł mu król Azis:

— W ogrodach swoich jest księżniczka Minoe. Idź i powiedz jej kobietom, aby stanęła przedemną.

Niewolnik drgnął i pobiegł szybko, ręce ułożywszy na piersi, jak czyni zawsze pieszy goniec.

Król Azis wyszedł z trudem na szerokie stopnie schodów i wszedł do tronowej sali, tak wspaniałej, jakiej drugiej nie było na ziemi, ani na wschodzie, ani na zachodzie.

Opowiadali ludzie wiele wiedzący, że cesarz chiński siedzi w tronowej sali, której sklepienie usiane jest diamentami, na podobieństwo niebieskiego firmamentu; że sułtan ludzi czarnych ma w swej sali dwanaście kolumn z bursztynu; że wielki chan barbarzyńców w lodowych krajach zasiada na tronie, który uczyniony jest z górskiego kryształu.

A oto król Azis miał w sali swej tronowej ściany jakoby z wody, albo ze światła, albowiem szereg kolumn w sali stojących, odbija się w nich tysiąckrotnie, zaś postać królewska mnoży się w tych ścianach tak, iż całe wojsko wśród nich się porusza, a żołnierz każdy ma na głowie koronę. Opowiadali, że poseł z dalekich krajów, stanąwszy w tej sali, oszalał, ujrzawszy siebie tysiąc razy równocześnie. Cóż są diamenty i kolumny z bursztynu i górskie kryształy, martwe, choć grające ogniami i tęczą, wobec tego dziwa i cudu największego, jaki widziały oczy najstarszego żeglarza, który zna wszystkie morza?

Azis wszedł do tej sali i stąpać począł ku tronowi, którego poręcze zdobił rząd wielkich, czarnych pereł, nie mających ceny; usiadł i głowę oparł na rękę, czekając. Naprzeciwko niego pochylił się inny król Azis i patrzył na ciało swoje, siedzące na tronie. Dreszcz przebiegł po królu, chciał w inną spojrzeć stronę, lecz nie miał siły, aby odwrócić głowę; patrzył tedy dziwnym wzrokiem, jakgdyby duszę własną ujrzał w rnamidle i tak znieruchomiał; obudził się wtedy dopiero, kiedy pomiędzy nim, a widziadłem stanęła Minoe.

Spojrzał na nią król Azis i wtedy dopiero zwolna odwiódł głowę, kiedy napotkał oczyma jej oczy, jakgdyby szydercze. Minoe stała naprzeciw króla, naga napoły, albowiem z pomiędzy fałd białej tkaniny, ujętej złotym, pysznej roboty pasem, przeglądały jej przedziwne, małe dziewicze piersi, której brodawki, pomalowane farbą, zaprawną różowym olejkiem, podobne były różom, ledwie rozwitym. Usta miała rozchylone księżniczka Minoe, ukazując zęby białe i ostre, podobna w tej chwili do zwierza, niezrównanej piękności, który, oczarowawszy spojrzeniem, zabija.

Skłoniła się z niezmierną czcią księżniczka Minoe, nie śmiejąc pierwsza powiedzieć słowa. Król Azis mówić począł cicho:

— Tyś jest Minoe, córka królewska?

— Jam jest!

— Bądź pozdrowiona i wiedz, że czuwam nad tobą, abyś była szczęśliwa.

Odetchnął król Azis, jakgdyby wyczerpały go z sił powiedziane słowa; potem rzekł:

— Nie oddałem ciebie za siedm miast, ani za galery, pełne złota. Niema na ziemi tylu bogactw, któreby były warte jednego twego włosa... Rzekłem... Bądź pozdrowiona...

Minoe, ustawicznie patrząc w twarz królewską, uklękła i powstała potem szybko, oczu od ojcowskiej twarzy nic odjąwszy ani na moment.

— Czemuś mnie kazał wołać, panie?

— Chcę mówić z tobą... słuchaj uważnie i odważ każde słowo, zanim mi odpowiesz.

— Pytaj! — królu Azisie.

Król Azis myślał chwilę, potem mówił

— ...Postanowiłem ukarać moje miasto...

— Czem zawiniło, królu Azisie?

Król Azis wpił palce w poręcz tronu i począł gwałtownie wylupywać czarną perłę z oprawy.

Rzekł:

— Minoe! źle jest pytać, jeśli odpowiadać ma król Azis... Zawiniło moje miasto. Rzekłem!... Patrz w ziemię i na stopnie tronu, czy nie znasz mojej twarzy? Zakryj oczy!

Księżniczka Minoe pochyliła nisko głowę i słuchała w milczeniu.

— Ukaralem moje miasto i zalałem je krwią... Kazałem spalić okręty... Puścić kazałem w ulice tygrysy... Morzyć ich kazałem głodem... Chciałem, aby się ulękli króla Azisa... Chcę, żeby się ulękli, Minoe!... Nie ulękli się śmierci, a ja chcę, aby się mnie ulękli...

— Panie! — szepnęła Minoe.

— Mów...

— Cóż ja mogę?

Spojrzał na nią król Azis i rzekł cicho:

— Mdły jest rozum kobiecy, lecz jest jako pierze na drzewcu strzały, aby lecieć mogła tem pewniej. Dzieje się też, że nie rozum zabija, lecz przewrotność i chytra głupota... Straszniejszy jest od lwa skorpion i gorszą jest trucizna w puharze wina, niż burza na morzu... O, Minoe!... Mów, co mam czynić, aby oszaleli w lęku i czołgali się w prochu, usłyszawszy moje imię... O, Minoe!

Wtedy księżniczka Minoe podniosła wzrok na króla i rzekła:

— Pozwól mi pytać, panie!

— Pytaj!...

— Kto ci doradził, aby zabijać, chcąc zasiać trwogę?

— Dowódca... szepnął król Azis.

— Każ tedy zabić jego...

— Już umarł, — szepnął Azis.

— Uczyniłeś mądrze, albowiem radził ci jak żołdak, miecz tylko widzący; czynił jak kat i imię jego powinno być w pogardzie, lecz tylko złoczyńca lęka się kata. Oto ci mówi córka twoja Minoe, której pozwoliła mówić twoja niezmierna laska: nic ulęknie morze krwi duszy ludzkiej, albowiem spłynie z niej krew, jak woda ze skały.

— Cóż mam czynić?

— Oto ci mówi Minoe: jeśli chcesz, aby miasto twoje się ulękło, nie trwóż go śmiercią. Czy śmierć ulęknie kogo? Czy ulęknie ciebie, królu Azisie, który jesteś bez lęku?

— Mów!

Minoe mówić poczęła teraz szeptem, jak kusiciel:

— Pozostaw ich w spokoju, który zamieni się w piekło... Pozostaw ich w ciszy, która ich zabije... Oto ci mówi Minoe: ukryj swój gniew, a oni niech czekają w rozpaczy, nie wiedząc, co zamyśla król Azis; nie jest straszny wróg, który przychodzi w dzień, nawołując, że idzie, straszny jest ten, który ma przyjść, a nikt nie wie, skąd i kiedy, jaką ma twarz i czym zabija...

— Mów, o, Minoe!

— ...Przywołaj do siebie kilku z nich i powiedz, że od dziś darzysz ich swoją łaską. Kiedy usłyszą to słowo, zbledną, im twarze i to będzie pierwszy znak trwogi. Potem oszaleją, czekając na nieznanne.

Król Azis obracał w palcach czarną perłę, wydartą z tronu; dyszał ciężko, jak człowiek bardzo znużony i słuchał pilnie; potem, nie spojrzawszy na Minoe, rzekł:

— Odejdź!... Mądrość twoja jest wielka i zabija jak skorpion... Masz mądrość od kwiatów, które umieją poić jadem... O, Minoe!... Oczy twoje są złe i mądre... Wiesz więcej, niż stary człowiek, który na gwiazdy woła po imieniu i naznacza bieg słońca... Odejdź! Uczynię wedle słów twoich... Nie patrz na mnie! Odejdź!

Skloniła się księżniczka Minoe i odeszła cicha jak pantera.

Król Azis klasnął w ręce; klasnęło echo daleko przy drzwiach, w których stanął niewolnik.

— Weźmij konia — rzekł król Azis — i pędź do miasta. Staniesz na rynku i zawołasz głośno, że król Azis każe, aby dwóch z miasta przyszło do niego, albowiem chce miastu obiecać łaskę i szczęście. A kiedy to będziesz mówił, twarz umaluj radością. Czy śmiałeś się kiedy?

— Dawno, królu Azisie... Zapomniałem...

— Przypomnij więc sobie śmiech, zły to bowiem sługa, który nie umie wielu rzeczy. Precz!

Król Azis wyszedł na terasę i rozkazał rozpiąć wśród dwóch wyniosłych kolumn ogromną zasłonę z purpury; rozkazał następnie, aby tych, którzy przybędą z miasta, przyprowadzili przed nią i uklęknać im kazali, albowiem on będzie poza nią.

Już było pod wieczór, kiedy się zjawili ludzie z miasta; dwóch ich było: stary jeden, podobny omszałemu dębowi, na którym mech od starości jest srebrny i drugi młody, sośnie gibkiej podobny. Szli śmiało, a stanawszy na stopniach pałacu, zapytali:

— Gdzie jest król Azis, który nas woła? Rzekł niewolnik:

— Upadnijcie na twarz przed purpurową zasłoną, albowiem jest poza nią.

Na to rzekł stary człowiek głośno:

— Powiedz panu twojemu, że nie jesteśmy ślepcy — on ma twarz żółtą, a ta purpura ma barwę krwi.

— Zginiesz! — szepnął niewolnik przerażony.

— Wszak po to tu przyszedłem... — odrzekł mu stary człowiek, a zwróciwszy się twarzą ku zasłonie, zawołał głosem mocnym:

—— Królu Azisie!

Odpowiedziała mu cisza; purpurowa zasłona drgnęła zlekka, jakby znak dając, że jest ktoś poza nią, który żyje.

Stary człowiek czekał długo odpowiedzi, potem rzekł:

— Dwóch nas przyszło, którzy nie boją się śmierci. Mam lat dziewięćdziesiąt i pragnę umrzeć. Każ mnie zabić!

— Nie zapłaciłem daniny twojemu skarbnikowi, albowiem jestem ubogi. Za to mnie czeka śmierć. Każ mnie zabić!

Zasłona drgnęła po raz drugi. A stary człowiek mówił:

— Twój niewolnik, który nam przyniósł wieść o twej łasce, głosząc ją — płakał. Czy nie masz wśród swoich sług histrjona, który umie udać wycie psa i śmiech człowieka, rzeczy do siebie podobne? Albowiem łzy mówią prawdę... Czego żądasz od nas, królu Azisie, prócz życia?

Drgnęła po raz trzeci zasłona i wśród wielkiej ciszy usłyszeć można było poza nią słowa, pełne jadu, który się chciał ukryć:

— Powiedzcie miastu, że je miłuję...

— Ohe! — krzyknęli obaj.

— ...I że chcę, aby było szczęśliwe...

— Ohe! — krzyknęli po raz wtóry.

— ..Jeśli się ukorzy...

Cisza krzyknęła w tej chwili, oni milczeli.

— ...I padnie w proch... w trwodze przed tym, który się nie lęka...

Niema w grobie ciszy tak strasznej, jak ta, która bladą "twarzą błysnęła w tej chwili.

A kiedy przeminęła, spłoszona szumem w ich rozpalonych głowach, stary człowiek począł mówić, słowu każdemu błogosławiąc dłonią:

— Królu Azisie! Pytaliśmy najmędrszego wśród nas, skąd jest szaleństwo twoje, bluzgające krwią, a mędrzec rzekł: Król Azis struł się lękiem i oszalał. Czemuś się ukrył za

zasłona, wielki królu? Jestem człowiek stary i widziałem trupy, czy mniemasz, że stare moje oczy twarz twoja zbyt przerazi? Królu Azisie! Twoje miasto kazało ci powiedzieć:

“Kłonię się tobie, królu do stóp i modlić się będę, abyś żył wiecznie...”

— Aaa! — jęknął król Azis za purpurą.

— ...I to ci kazało powiedzieć: “przejrzałem ciebie i widzę twoją plugawą myśl: chce nas na śmierć zaleknąć twoja łaska”. Królu Azisie! Kłaśnij w dłonie, aby przyszedł niewolnik z mieczem; purpurowa zasłona nauczyła nas patrzeć spokojnie na krew, a byliśmy w twym pobliżu zbyt długo, abyśmy się ważyli zejść napowrót w miasto, niosąc w fałdach szat twój zatęchły oddech. Każ nas zabić, Azisie! Trupy nasze zabierze miasto, które tu dzisiaj przyjdzie i ostrzega ciebie, albowiem nie przyjdzie podstępnie, przyjdzie, aby cię łowca psów schwycił na pętlę; potem cię uwiążą i strzec będą, abyś żył długo, Azisie! Ohe, jak bardzo jesteś nieszczęśliwy!...

Rzęzenie dziwne słyhać było za zasłoną, a starzec mówił tem głośniej:

— Czyń wszystko, aby jedna łza wybiegła z twoich oczu, wtedy będziesz szczęśliwy, albowiem umrzesz, chociaż umarłeś tak dawno... tak dawno... Czemu czyniłeś zło, zamiast wypić truciznę z pierścienia? Azisie!

Cisza zaległa za zasłoną.

Wtedy starzec począł schodzić powoli ze stopni schodów wraz z drugim przybyszem z miasta, a zszedłszy, usiedli spokojnie na marmurach.

— Na co czekacie? — spytał cicho niewolnik.

— Na śmierć — rzekł mu stary człowiek — wszak i ty na nią czekasz.

— Odejdźcie!

Stary człowiek spojrział na niego łagodnie.

— Pójdziemy — rzekł — aby i twego rozkazu ktoś usłuchał raz w życiu.

I poszli dostojnym krokiem, nie spiesząc się, aby nikt nie sądził, że ich w pośpiechu gna obawa przed zemstą azisową.

Niewolnik patrzył za nimi długo, a kiedy się rozplywać zaczęły ich postaci w rozblasku wieczornym, obejrzał się baczenie, a nikogo nie dojrawszy wpobliżu, podniósł szybko ręce w górę i oczy podniósł ku niebu, szepcząc:

— Żyćcie szczęśliwi!

Potem zniknął szybko, albowiem hałas się podniósł w miejscu, gdzie za zasłoną ukryty był król Azis. — — — —

Słońce, zjeżdżając w morze po pochyłej drodze nieba, na której pokładły się cielska chmurne, żywe i leniwe, nie mogło snąć utrzymać swoich oszalałych koni, przerażonych

widokiem morskiej przepaści; pędził tedy wóz słoneczny, jak kwadryga bohatera, tumany złotego kur/u podnosząc w powietrze i purpurowego pyłu, który, wzbiwszy się, opadał potem powoli, ważąc się, na morze i ziemię, na cyprysy i marmury. Albo też kiedy słoneczna kwadryga pędziła po lazurówym jeziorze, napotkanem na drodze, rozpryskiwały się na boki fale i wzburzona ich piana skłębionej wełnie owczej podobna, rozlewała się na obie strony, rodząc chmurki śnieżyste, podobne gromadzie owiec, które, zwyczajem swoim, przerażony się, w stado zbite, pobiegły.

Straszna się jednak rzecz stała po chwili, na którą niebo całe patrzyło, zaparłszy oddech w szerokiej, wspaniałej piersi, zadzwoniwszy przez chwilę zdumiała zagnała cisza przedwieczorną. Leciał wóz słoneczny wprost przed siebie, krzycząc piorunowem, śmiercią zabijającym światłem, ażeby mu zeszło z drogi wszystko, co żywe, albowiem nie będzie żył, kto stanął przeciwko boskiej twarzy słońca. Ohe! Patrzcie! Patrzcie!

Olbrzymi, straszliwy smok, urobiony z chmury, ten sam, który rankiem pełzał nisko na południowej stronie nieba i, głowę zanurzywszy w morzu, żłopał zeń wodę, on to teraz, strasznej potęgi słońca niepomny, położył się na jego drodze, dysząc ciężko, albowiem był senny, pożarłszy ogromne stado chmur małych i rozpiechłych w swawoli, które mu wiatr, liżący się pochlebca, w paszczę napędził; on też pożarł o południu dwugarbnego wielbłąda z szarej chmury, na którym mała, cudna, biała chmurka wędrowała, w stronę, gdzie miał wzejść księżyc, albowiem urodzona wczoraj, a mająca umrzeć jutro, chciała ujrzeć srebrne dziwo miesiąca i jego odwieczne ruiny; on ci to olbrzymim ogonem rozbił białą łódź, ze śnieżystym żaglem chmurę, żeglującą ku wieczornej gwiazdzie, rozmiłowanej w morzu; on to teraz legł w pysze i dosycie, leniwy i senny, zły i ogromny i połowę nieba zajął swoim plugawym cielskiem, na którym wiatr usłużny gładził mu skłębiona grzywę.

Ohe! patrzcie!... patrzcie!..

Z hukiem tysiąca piorunów zadudnił wóz słoneczny, pędząc w szalonym biegu ku przepaści.

— Z drogi — krzyknęło słońce, głosem tak jasnym jak kryształ, a tak potężnym, że posiniało niebo całe w nagłym lęku.

Dźwignął smok swój łeb leniwie, a usłużny wicher, silniej zadawszy, paszczę mu rozwarł po też nie własnymi rękoma.

— Z drogi! — krzyknęło słońce, a niebo i ziemia zamilkły z lęku.

Nie dźwignął się straszliwy smok, ciężki i zły. Wtedy, nic wstrzymując koni, runął na potworne cielsko stłoczę słoneczny wóz i o zgrozo! napoły je przeciął dwójgiem złotych kół; w tejże chwili potop krwi, z pod kół trysnąwszy, polał się po pochyłości nieba, obryzgał świetne

szaty słońca i białe rumaki i rozlewać się począł powoli po niebie, aż się zakrwawiło całe, a strugi krwi sączyć się począły na morze, i zakrwawiło się morze. — — — —

W tym to czasie zgiełk się uczynił w miejscu, w którym się znajdował król Azis.

Czarny niewolnik, wieczyście strzegący króla, stał opodal zasłony i czekał, aż go kłaśnięciem w ręce król Azis do siebie przywoła; czekał długo, wreszcie się zaniepokoił, nie śmiał jednakże wejść poza purpurowe sukno, lecz kiedy zbyt długo trwała cisza, czołgać się począł na klęczkach ku zasłonie, oddech wstrzymując w piersi. Potem zawołał cichutko:

— Królu Azisie!

Na wiele się ważył ten człowiek. Odpowiedziała mu cisza, więc powtórzył wołanie:

— Królu Azisie!

Jeśli słyszał król Azis, ten człowiek wołał własną śmierć po imieniu.

Nikt jednakże nie odpowiedział.

Wtedy niewolnik, nagle powstawszy z klęczek, pobiegł jak wicher w te strony marmurowego pałacu, gdzie mieszkała księżniczka Minoe i rozkazał kobietom, aby jej powiedziały, że król Azis co prędzej widzieć ją pożąda.

Ukazała się Minoe, brwi groźnie podniósłszy, albowiem właśnie grała na harfie pieśń przedwieczorna na cześć umarłych.

— Czy mnie pragnie widzieć król Azis? Niewolnik przyklęknął.

— Rzekłaś!

— Gdzie jest? Niewolnik odrzekł:

— Albo na ziemi, albo też rozmawia z ojcem. Minoe ściągnęła brwi groźniej jeszcze.

— Czy rozum ci się pomieszał? Dawno już umarł ojciec królewski. Gdzie jest król?

Niewolnik odpowiedział dziwnie:

— Jeśli jest, jest tam, gdzie był, za purpurową zasłoną, za którą przyjmował ludzi z miasta, aby złemi oczyma nie dostrzegli jego majestatu.

— Ohe! — szepnęła Minoe — idź przedemną! Szli szybko i długo, zanim doszli do zasłony.

— Precz! — rozkazała księżniczka Minoe, potem weszła poza purpurowy błam.

Król Azis leżał na marmurowej podłodze, jakgdyby nieżywy; wiele piany popłynęło mu z ust, które były sine. Żył jednak król Azis, albowiem oczy jego żyły; spojrział dziwnym, strasznym wzrokiem i drżał. Nadludzkie przerażenie wycisnęło mu pot ze skroni, jakoby krwawy; palce miał zaciśnięte kurczem, który musiał być nagły i mocny. Straszny był w tej chwili król Azis.

Księżniczka Minoe dźwignęła go z mocą, szepcząc:

— Królu Azisie! Powstań..

Azis, dzierżąc się jej ramienia, utrzymywał się z wysiłkiem, drżąc ciągle jak liść.

— Zwołaj siły. — szeptała Minoe — aby nie ujrzał cię nikt, wspartego na ramieniu kobiety... Azisie!...

I wywiodła go z wielkim trudem na terasę, z której widać było miasto, już się w mgłę owijające.

Król Azis szedł jak bezwolne dziecko, patrząc uporczywie w stronę swojego miasta. Dyszał ciężko, jak człowiek ciężko w pierś samą raniony; twarz jego była tak żółta, że zdawało się, świeci trupim blaskiem w wieczornym mroku, tem światłem, którym oddycha próchno po nocy.

W tej chwili ozwał się u podnóża pałacu odgłos miarowych kroków.

— Straże idą! — szepnęła Minoe — bacz, żeby cię nie dojrzały, królu...

Król Azis oparł się z trudem o obramowanie terasy; Minoe stała poza nim, patrząc dziwnie na postać królewską.

Nikt nic wie, co myśli Minoe, jakże się bowiem dowiesz o tem, co myśli potwór kamienny na brzegu pustyni w dalekim stąd kraju, ten, który milczeniem s wojem zabija czas i ludzi?

Król Azis milczał bardzo długo, tylko drgania nagle biegły przez jego twarz na znak, że bije serce królewskie i że się lęka. Oczy miał utkwione w białe widmo miasta, które jakby równocześnie patrzyło w niego, uporczywie a łagodnie, lecz tym wzrokiem, którym patrzy jasnowłosy bohater, mający oczy niebieskie, a w piersi serce lwa.

Wtedy, po długiej chwili król Azis, wciąż wdał wpatrzony począł mówić, słowa z trudem dobywając z gardzieli:

— Przyjdą tu dziś... po mnie... aby mnie zabić... Nie widzieli lęku... Minoe...

Pochyliła się Minoe, nasłuchując.

— Królu Azisie! — szepnęła — noc ci śpiewa słowa szalone...

— Milcz! — rzekł Azis — przysięgli, że przyjdą...

— Są strażę.

— Zdradzą mnie...

— Tysiąc łuczników strzeże bram.

— Tysiąc strzał uderzy w moje piersi...

— Azisie!

Król Azis ważył coś w szalonej myśli, zalewającej mu płomieniem oczy. Trząsł się cały, jakby na chłodzie; spojrzała w jego twarz Minoe i odwróciła szybko oczy.

— Azisie! — szepnęła po raz wtóry z trwogą. Och! jak bardzo lękał się król Azis... Odwrócił się nagle i, jak człowiek, zmagła przelękły, mówić począł:

— Niechaj tu przyniosą mój tron... Światła!. Niech mi przyniosą koronę i berło... Ohe!... Rozka: aby się stało... Niech mnie ujrzą i ulęką się... Minoe!.

Nie minęła chwila, a stało się, jak rozkazą W oddali stanęło stu niewolników, dzierżąc w rękach pochodnie, buchające dymem. Krwawe blaski spadły ulewa. A wtedy rozkazał król Azis, aby mu Minoe pomalowała żółtą twarz różową farbą i oto dwie plamy, do krwawych plam podobne, wykwitły na obliczu królewskim.

Na królewskie ramiona nałożono płaszcz tak cudny i bogaty, jak niebo o wschodzie słońca; na głowę włożono mu tiarę, tłocząca głowę nadmiarem rubinów i pereł, jakby łez jasnych i barwionych krwią, w rękę mu dano berło; na którego szczycie buchnął zmagła, wśród mroku nocy, pożar ogromnego diamentu. Siadł potem na tronie król Azis do trupa podobny, a Minoe stała przy nim

Blask pochodni drgał ciągle, albowiem ręce które je dzierżyły, drżały ogromnie.

W tejże chwili na spienionym koniu przybiegł pod pałac setnik, nad strażami mający nadzór, a porzuciwszy konia biegł szybko po stopniach schodów. Ujrawszy króla Azisa w całym majestacie, zdumiał się śmiertelnie, potem padł na kolana i wołać począł okropnym głosem:

— Panie wielki! Miasto całe idzie tutaj... Niosą miecze i włócznie... Ratuj się!...

Rzucił się nagle król Azis wtył, wydawszy jęk. Blask pochodni zadrzał niespokojnie. Cisza krzyknęła nagle, aby nikt się nie ważył odetchnąć. Górze! Górze!

— Panie! — mówił dalej setnik i płakać począł — wojsko twoje pierzchło...

Król Azis leżał na tronie jak nieżywy.

— ...Wszystkim koniom twoim ktoś podciął pęciny... Ratuj się!

— Precz! — krzyknęła księżniczka Minoe — nudzisz króla.

W tej chwili drgnął król Azis i uczynił ruch taki, jakby usiłował powstać; wtedy pochyliła się nad nim Minoe i pchnęła go oczyma w twarz.

— Jak ujdiesz? — szepnęła — niech cię ujrzą! Kto z żywych nie ulęknie się ciebie, ujrzawszy?

Odpowiedział jej jęk, jakby wyszedł z pod ziemi.

Lęk, który się czaił w piersi azisowej, wypełznął teraz na jego oblicze, jak wąż i grzał się przy ciepłym blasku stu pochodni, a zdawało się, że za każdym dotknięciem wężowego wilgotnego ciepła, gnęła w oczach twarz króla Azisa. Oczy patrzyły nieruchome chorą, okropnym świecąc blaskiem; zdawało się, że król Azis oczyma już tylko słuchał dziwnego

łomotu, który się zbliżał powoli jakby burza, aż nagle głos straszny, jakby z tysiąca piorunów, zawył nagle opodał:

— Azisie!

— Azisie! — załomotało echo i uciekło przerażone w gęstwę cyprysów.

Wtedy Minoe krzyknęła głosem ostrym i donośnym:

— Uderzcie w kotły i blachy!

Zgiełk się podniósł, jakgdyby wśród najsrozszej bitwy; gromada niewolników biła w kotły i dęła w olbrzymie trąby wojenne; stu uderzało w blachy i tarcze.

Ohe! jak śmieszne rzeczy czyni lęk!

Głos piorunowy krzyknął po raz drugi:

— Azisie!

I w tejże chwili ucichły kotły i trąby, jakby przerażone.

A ktoś mówił z dołu: .

— Łowca psów weźmie cię na pętlicę!... Gdzie jesteś?

— Azisie! — krzyknął tłum. Wtedy król Azis wśród okropnego rżenia, szepnął z wysiłkiem do Minoe:

— Zabij mnie...

— Będziesz żył długo! — wołał głos.

— Zabij mnie! — charczał Azis i piana wybiegła mu z ust.

Na najniższym stopniu marmurowych schodów stanął pierwszy z tłumu, trzymając w ręku pochodnię.

— Zabij mnie! — rzeźił Azis, leżąc na tronie nieruchomie.

Wtedy Minoe szybkim ruchem dobyła sztyletu, a pochyliwszy się nad królem, rozgarnęła szaty na jego piersi, chcąc ręką wyczuć serce; nie odejmowała ręki długo, jakby skamieniała w zdumieniu: oto głucha była pierś azisowa i serce w niej nie biło, więc nagle, oczy zmrużywszy, ugodziła sztyletem w gardziel królewska. I ją teraz lęk ogarnął: z azisowego gardła nie wypłynęła ani jedna kropla krwi.

— Azisie! — krzyknął tłum.

Przerażeni niewolnicy porzucali pochodnie, uciekając. Dojrzał już jednakże tłum, że Minoe uratowała Azisa, śmierć mu zadawszy, więc, ochłonawszy, rzucił się w jej stronę, podniósłszy włócznię.

W tejże chwili Minoe, zwinęła się jak pantera, jednym szybkim ruchem zdarła z siebie wiotkie szaty i stanęła naga. Na usta jej wybiegł uśmiech zły i śmiertelny. Oto Minoe, naga i

cudna jak śmierć, poczęła schodzić powoli ze schodów, po purpurowym kobiercu, który na nie rzuciły pochodnie.

Pierwszy, który ją ujrział, krzyknął, a rękoma zakrywszy oczy wtył się zwałił ze schodów; a inni, jakby nagłym przerażeniem zdjęci, cofali się w milczeniu i ciszy, rzucając miecze i włócznie.

Minoe szła powoli, uśmiechnięta jak śmierć.

Koniec.

O SZLACHETNEJ DZIEWICY I KONIU.

Rzeczą jest godną podziwu największego nawet mędrca, co, siedząc na dywanie i drapiąc świerzb na wzniosłej piersi, wiele przemyślał, albo też chytrego golarza, który wiele słyszał opowieści z ust tych, co zdaleka i z różnych przybyli stron — jak bardzo księżyc podobny jest do szakala, gwiazdy do jaszczurek, złotem się mieniących, chmury do dromedarów, zaś słońce do człowieka. Pojmie to nawet człowiek z przyrodzenia głupi jak struś i taki, którego w młodości mocno bito bambusem w ciemność, a nawet człowiek podłego rzemiosła, szewc albo też taki, co układa wiersze; zdarzało się też, że i niewiasta, głęboko i przez czas niejaki się zastanowiwszy, nie odlatując myślą na boki (zgoła jak mieszaniec osła i muła, co bez głębszej po temu przyczyny, ogon zadarłszy i mocno rycząc, nagle od stada odbiegnie), — pojmie, że wiele rzeczy na niebie podobnych jest do rzeczy ziemskich parszywych i marnych.

Tak też myślał sobie głęboko Ibrahim, syn Jusuffa i jeszcze jednego piekarza, obu ich bowiem miłowała szlachetna jego matka, słusznie mniemając, że dwóch snadniej i roztropniej wykończyć zdoła dzieło, niżby tego mógł dokonać jeden. Może dlatego też ów Ibrahim tak zaprawny był w myśleniu głębokim i niepospolitem, a cześć ludzka szła za nim, jak szakal za wielbłądem. Znało go wprawdzie ludzi niewielu, trzech najwyżej, licząc w to i kadięgo z Damaszku, który go sadił raz za kradzież rzepy i obcięcie ogona szlachetnej klaczy; lepiej jest jednak człowiekowi, jeśli imię jego jest w czci u małej liczby, niżby miało być w pogardzie u tysiąca, jak imię owego mędrca z Bagdadu, co, mogąc zażywać wielkiej czci z powodu swojego nadmiernego rozumu, podał się w ludzką pogardę, ożenił się bowiem po raz dwudziesty siódmy, kiedy mu szczęśliwie uciekła dwudziesta szósta żona, córka szewca i szejtana zarazem, jędza i piekielnica. Dzieje się tak nieraz bowiem za niepojętą sprawą Proroka, że bardziej mędrzec jest podobny do kulawego osła, niżli osioł do mędrca.

W wielkiej tedy czci u ludzi będący Ibrahim, sam był na oazie El Haazar, plemię bowiem na niej mieszkające wybrało się właśnie na kradzież koni, co z wielką czyniło fantazją i należytą wprawą, niemasz bowiem nic gorszego nad to, jeśli kto rzecz swoją czyni niedokładnie i leniwie; dlatego też człowiek mądry słusznie się odwraca tyłem od złodzieja, który się pozwolił schwytać, choć i to być może, że złodziej złodziejowi nie chce spojrzeć w oczy. Możliwe też z tego mniemania wiedzieć, dlaczego połowa ludzi na świecie patrzy w ziemię.

Ibrahirn, syn Jussufa (i jeszcze jednego piekarza), patrzył właśnie na niebo, odpoczywając, wielce bowiem był zmęczony. Sprawował on urząd wielce ważny i pilny, rzeczą bowiem jego było wydobywanie wody z żołądka ziemi, czynił to zaś, obracając przez dzień cały kołowrót, ów zaś ciągnął z czeluści studni pełne wiadra. Chociaż do owego rzemiosła nie trzeba było wielkiej nauki i przemyślności, jednakże mógł je sprawić tylko mąż stateczny, którego myśli nie są rozpierchłe i który zdoła chodzić wokółko od wschodu do zachodu słońca. Zdawało mu się nieraz, kiedy mu się mózg zakręcił, tak, że się z niego uczynił gorący pilaw, że on sam jest studnią i z siebie smakowitą czerpie wodę, minio tego jednakże szanował ten człowiek swoją pracę, słusznie mniemając, że i mędrzec, chociażby największy, nic innego nie czyni, jak, kręcąc się wokółko, wydobywa wodę, którą potem piją i ludzie i parszywe, kwiczące muły. Za pracę swoją miał niewiele, bo poza tem, że otrzymywał dwie garście daktyłów, wolno mu było pić tyle wody, ile zechce, słuszną bowiem jest rzeczą i sprawiedliwa, aby człowiek mógł do syta pożywać owoce swojego trudu.

Największą jednak nagroda była pogoda duszy, skarb wielki i bezcenny, albowiem Ibrahim miał w piersi niebo, w głowie zaś wciąż miał wodę, o niej bowiem myślał przez dzień cały. Dlatego też myśli jego były czyste i wzniosłe; widział też wiele rzeczy, dla innych niepojętych, jako i tę, na którą patrzył w tej chwili, ległszy nawznak, na szlachetnych swych plecach, zrzadka okrytych wrzodami. Patrząc na słońce, ujrzał, iż to jest rycerz, na ognistym, wielkiej ceny i wielkiej krwi konin siedzący, który pędzi po pustyni nieba. Czasem przystanie, a wtedy koń pije wodę z czarnej chmury, która jest pełna, jak bukłak z kozłej skóry, potem zasię, krzyknąwszy głośno, rycerz ów znowu goni aż do Medyny zachodu, gdzie na niego czeka Prorok, na purpurowym, z miękkich chmur dywanie siedzący i pali fajkę tak wielką, jak palma, zaś dym z niej pada na ziemię, jak srebrna mgła. Tani ów rycerz słoneczny pada w proch przed Prorokiem, on zaś, rad wielce, pozwala mu ucałować swoją nogę i mówi: “spocznij przez noc w haremie, jutro bowiem popędzisz na wschód, dokąd moje zanieść masz błogosławieństwo”.

Tak sobie myślał Ibrahim, we czci ludzkiej leżący na szlachetnych plecach, kiedy nagle nasłuchiwać począł pilnie, bowiem wprawnem, chociaż brudnem uchem złowił tętent bachmata. Bystrze pojął w tej chwili, że” jeśli słyszeć odgłos kopyt, tedy ktoś nadjeżdża, bardzo bowiem sprytny był “w rozumie; porwawszy się tedy, jął kręcić kołowrót, który skrzypiał dziwnym głosem tak, iż mogłeś rozumieć, że to szakał chrapliwie zaszczekał, albo też swarliwa poczyna mówić niewiasta.

Tuż przed nim wrył ktoś w miejscu rumaka, aż grudy ziemi bryznęły. Rumak był piękny, jak hurysa, czarny, jak noc, zaś oczy miał, jak dwie migotliwe gwiazdy. Rozdął chrapy,

zwiąrzywszy człowieka, i przysiadł nieco na zadzie, zgołą, jak księżniczka, co, chcąc się wydać piękniejsza, słodko się przegina wtył, ukazując w ten sposób obfitość piersi, bogatych i urodzajnych, jak sułtańskie ogrody, pełnych, jak skórzane wory wina; biegiem rozogniony, drżał ów pyszny rumak, jak odaliska, którą wiodą do łożnicy Kalifa, ona zaś się trwoży, czy też ciało ma dość pachnące. Potem zasię koń, wodę poczuwszy, strzyc począł uszyna, jak derwisz, kiedy poczuje przez mur zapach gotowanej kury i niebo się przed nim nagle otworzy.

Z podziwem patrzył na owo zwierzę szlachetne mądry Ibrahim i rozmyślał w duszy, że wiele jest na świecie rzeczy, piękniejszych od człowieka, tem zaś snadniej w to uwierzył, przyjrzawszy się twarzy jeźdźca, który krzywdę czynił szlachetnemu rumakowi, z taką na nim jeżdżąc twarzą. Była ci ona bowiem do nadgniętego podobna melona, z którego patrzyły oczy zakisłe, jak stęchły pilaw, szalbiercze i chytre; rzadka broda stroiła tę gębę obleśną, podobna do ogona starego szakala, który oblaźł cały i sparszywił, zaś sierści na nim nie zostało tyle, iżby wiele się w jej gęstwie mogło ukryć pcheł.

Jeździec ów, Ibrahimowi się przyjrzawszy, skinął na niego, aby się przybliżył, poczem zbliższy go swoim lepkiem umazawszy wyrokiem, napyta ł:

— Czy woda twoja jest dobra do picia? Ibrahim odrzekł roztropnie:

— Czy koń twój jest mądry?

— Koń mój jest mądry, jak wielki wezyr, a przemyślny, jak derwisz.

— Tedy czemu pytasz, czy woda jest dobra, widząc, jak koń twój na jej widok strzyże z radości uszyna?

— Allah! — rzekł jeździec — mówisz, jak człowiek rozsądny. Czy mądrość swoją czerpiesz ze studni? Daj mi pić...

Ibrahim zastanowił się i myślał chwilę; potem zaś, dziwnie na niego spojrzawszy, powiada:

— Czy koń twój niósł ciebie, czy ty niosłeś konia? Dlatego najpierw dam pić jemu.

— Koń jednakże nie rozbije ci głowy, ani cię nie nazwie synem wieprza, ja zaś snadnie uczynić mogę jedno i drugie.

— Słusznie mówisz, — odrzekł słodko Ibrahim — dlatego też właśnie napoję najpierw twego konia.

To rzekłszy, wziął bukłak, zaczerpnął wody i, uśmiechając się zachęcająco, jak czyni mąż w dniu wesela, poił rumaka, który pił chciwie i z lubością, mrużąc oczy i strzygąc uszyna, zaczem parsknął i otrząsnął się, zgołą jak człowiek, który wyszedł z kąpieli i, orzeźwion wielce, patrzy na świat pogodnie.

Temu wszystkiemu przypatrywał się Ibrahim, cmokając radośnie ustami, podobnie jak czyni stary, owrzodziały basza, przechadzając się powoli wzdłuż szeregu dziewcz, mniej i więcej popsowanych, wystawionych na sprzedaż; czasem zaś, dla tem większego ukontentowania, udając, że chce kupić cudną Greczynkę, co ledwo z dzieciństwa wyrosła, niczem zaś zażywniejszem nie mogąc wzbudzić rozkoszy w sercu swem, wyschniętem i jałowem, podobnem pustej sakwie, w której kiedyś było wiele — zlekka ja poklepie po łopacie, albo też, pod brodę ująwszy, drugą ręką gładzi po twarzy. Tak też Ibrahim z lubością wielką dotykał czarnej, lśniącej, miękiej sierści konia i troskliwie oganiał muchy z jego szyi, podobnej szyi sułtańskiej córki, którą ojciec kazał udusić rzezańcom, bowiem miała potomstwo z tańczącym derwiszem, a przecież żadna jej się nie stała krzywda, bo, jako mówi słynny jeden poeta (który potem z nadmiernego podziwu zwarjował) — szyja jej była tak piękna, że który rzezaniec dotknął jej rękoma, uczuwał nagle, za niepojętą sprawą Proroka, takie w sobie namiętności i moce, taką zaś w sercu tklivość i jęk miłości, że się każdy obwiesił raczej, niżby owej sułtance miał uczynić krzywdę. Tak ich wyginęło trzystu dziewięćdziesięciu dziewięciu, zaś ostatniego sułtan, w rozpaczy już wielkiej będący, zachował, aby ród owych ludzi pożytecznych do cna nic wyginął.

— Jak się zowie twój koń — spytał wreszcie Ibrahim.

— Zowie się “Syn Strusia”, przez co się wykłada, że wiatr przegoni w pustyni. Koń ten biegnie prędzej od śmierci, która mnie goniła niedawno, siedząc na samumie, a nie dognawszy, gryzie w pustyni piasek z rozpaczy i targa brodę z gniewu. Ty mi jednak powiedz, co ci się należy za wodę, nie jestem bowiem dostojnik żaden, który nie płaci i wybija zęby!

Ibrahim ważył długo w myśli tę sprawę, potem rzecze:

— Jeśli łaska twoja jest mała, jak pestka daktyla, tedy mi daj miedziany pieniądz, a bądź pewny, że cię nie będę klął i nie będę ci życzył, abys złamał obie nogi, lub się udławił baranią kością. Jeśli łaska twoja jest wielka, jak meczet, tedy mi pozwól, abym za wodę przejechał się na twoim koniu od tej palmy, aż do tamtej opodal, która uschła, gdyż się na niej powiesił niedawno jeden mędrzec. Czemu się śmiejesz?

— Zdawało mi się bowiem, żeś jest rozsądny, ty zaś głupi jesteś jak strusie jajo. Chcesz, bym ci konia pozwolił? Ohe, ohe! Czy nie wiesz, że koń, krew w sobie mający szlachetna, jest siedmkroć razy uczciwszy od kobiety, która, wspaniałego serca w sobie nie mając i nie bacząc na swego pana, wszelkiej zdrady się dopuści? Choćbym ci na jego grzbiecie siąść pozwolił, lepiejby ci było siąść na żelaznym garnku, w którym się żarzą węgle, dłużejbyś bowiem na nim siedział. Ja ci jednak i tak nie pozwolę, abys mi na nim nie uciekł, sam bowiem tego konia ukradłszy, wiem, jak łatwo się to czyni. Wtedy można go było dosiąść, dziś jednak, koń ten,

zrozumiawszy, kto jest jego prawowitym panem, wszystkieby ci połamał zebra, jeśli ci ich nie połamał kawas w więzieniu.

To mówiąc, zeskoczył z kulbaki i, zawiódłszy konia ku palmie, uwiązał go przy niej, potem, usiadłszy wygodnie, złośliwie patrzył na Ibrahima. Ten opuścił głowę na pierś, która, niezbyt wielki mając do dźwigania ciężar, oddychała szybko. Usiadł też na twardym podłożu nóg i milczał długo, mniemając, że już nic nie ma do powiedzenia.

Tamten jednak, zjadłszy niewiele daktyli, które żuł długo, potem zasię wypluwszy na dłoń, suszył je w słonecznej spiece i znowu żuć poczynał, długo nad czymś rozmyślał, kiwając się roztropnie, jak czyni słoń, wielki mędrzec, przymykał skisłe oczy, potem je znowu szeroko otwierał, jak to czyni zdychający ze starości wielbłąd, potem zaś, nakarmiwszy żołądek i dawszy posiłek sercu, dziwna rozpoczął rozmowę z Ibrahitem.

— Jak się zowiesz? — zapytał go najpierw.

— Ibrahim, syn Jusuffa.

— Imię twoje jest piękne... Pozdrowienie tobie, Ibrahimie.

Ów się zdumiał.

— Czemu mnie pozdrawiasz teraz dopiero?

— Albowiem widzę, że nie jesteś chciwy na pieniądze i nie chciałeś ich za wodę. I roztropny jesteś, Ibrahimie, synu Jusuffa, który oby żył sto lat.

— Umarł już, czemu mu nie dajesz spokoju? — Tedy gdyby żył, oby żył trzy razy po sto lat. Widzisz sam, jak bardzo przypadłeś mi do serca; gdybym miał syna, chciałbym, aby do ciebie był podobny.

— Nie mów tego, musiałbym ci bowiem odrzec, że chciałbym, abyś był podobny do mego ojca, który leży w grobie,

— Bismillah! Twój ojciec jest w raju.

— Rzekłeś! Ojciec mój nie ukradł konia... Tak to oni sobie mówili, jasnym było bowiem,

że ów jeździec czeka na coś i tymczasem w wielkim wprawia się myśleniu i jakoby zaprawia język, jak rycerz, co, zanim na bitwę wyjedzie, długo krzywą szablą macha, głośno pokrzykując dla nadania męstwa swojemu sercu, które nie zna trwogi; roztropnym jednak będąc, wie, iż wszelka wrzawa wiele mu pomoże. Długa też minęła chwila, zanim ów rzekł:

— Ibrahimie, synu Jusuffa, zali tędy nie przejeżdżał na wielbłądzie Abdul Azis, przyjaciel mój i krewny, wielki jednakże złodziej i wuj szakala?

— Nie był tu nikt taki... Czemu pytasz?

— Albowiem jeśli nie był, tedy przyjedzie, ja zaś mam z nim sprawę i obawiam się, aby mnie nie napadł i nie obdarł, na wszystko się bowiem waży ten człowiek. Proszę cię tedy, Ibrahimie, abyś dawał baczenie i obronił mnie w razie potrzeby.

— Jaką z nim masz sprawę?

— Oto ten człowiek chce kupić ode mnie tego konia.

— Jak rzekłeś?

— Konia chce kupić ode mnie.

— Tego konia kupi kalif, kiedy się o nim dowie

— Kalif mi nie zapłaci tego, co mi za niego chce dać Abdul Azis.

— Allah! Rozum ci się pomieszał...

— Czemu mnie krzywdzisz? Popatrz na mnie i wiedz, żebym ci mógł jednym uderzeniem pięść wybić oko i wytluc trzy razy po dziesięć zębów ale jestem łaskawy, albowiem widzę, że konia mego miłujesz.

— Więcej, niż ciebie...

— Prorok ci za to ciężka i śmiertelna zapłaci chorobą, albo trądem, albo gniciem wątroby. Teraz zaś słuchaj, albowiem zdaje mi się, że na krańcu pustyni widać dwa wielbłądy. To jedzie on, który oby nie dojechał. Wiesz, co mi chce dać za mego konia?

— Uszy moje szerokie są, jak bramy Bagdadu...

— Chce mi dać swoją córkę. Oh!

Rzekłszy to, przymknął skisłe oczy i uśmiechnął się obleśnie, szeroko otworzywszy plugawy pysk, z którego wiele pociekło mu śliny na rzadką brodę, na znak, że dusza jego w wielkim jest zachwycie i widzi niebo.

Ibrahim zadumał się smutno i, zdaje się, głębokie w sobie ważył myśli, gdyż miał w oczach wielką troskę, która usiadła mu na twarzy pomiędzy oczyma, jak zły, dziki ptak, co usiadł na drzewie i szponem drze korę. To jedno jednak było widać jasno, iż wielką dla swojego towarzysza czuje wzdargę i w dobrej swej duszy z końskim go porównywa nawozem.

Ów się w tej chwili obudził z zachwycenia i, spostrzegłszy, że tamci są już niedaleko, zawołał cicho konia po imieniu, potem zaś, podniósł się, uszedł kilka kroków i czekał, aż uczuł blisko szybki i świszczący oddech zadyszanych wielbłądów, podobny do owych westchnień, które wydaje z piersi stara i opasła niewiasta, nagłą żądzą jak płomień objęta. Wtedy chwycił wielbłądy za uzdzenie, mocno śmierzące, przepojone bowiem były starym, stęchłym tłuszczem dla tem większej giętkości, i silnem ramieniem zmusił wielbłądy, aby sprawnie uklęknęły, co uczyniły patrząc roztropnie i smutno, dwie bowiem są smutne rzeczy na świecie: dwoje oczu wielbłąda.

Uskoczył na ziemię Abdul Azis, drab rosły, jak palma i bezczelny na pysku, czarnym jak u szejtana; oczy miał zezem patrzące i bardzo niespokojne, tak, iż zdawało się, że wszystko widzi odrazu i wszystko naokół radby ukraść; zasię za nim szła, słaniając się po szybkim wielbłądzim biegu, niewiasta, z twarzą zakrytą czarczafem; zgrabnej była postaci i wiotka, co łatwo poznasz, jeśli mądre m okiem przejrzyć zdołasz z grubego sukna uczynione szaty, chociaż powiada inny mędrzec, że łatwiej dowiesz się, co jest we wnętrzu ziemi, niżli odkryjesz wady konia i niewiasty. Tego nie wie i Prorok.

Kobieta stała w milczeniu, oni zasię witali się pięknie, używając słów smakowitych i nadobnych jak przystoi mężom, o których jeden Allah tylko wie, że jeden i drugi jest to złodziej wielki i wcale nie mały.

Mówił oto Abdul Azis:

— Od trzydziestu dni myślę o tem, abyś był szczęśliwy i aby żołądek twój nie chorzał nigdy, Mohammedzie, bracie mój, światłości moich dni. Obyś nigdy nie widział szakala smutku i węża zgryzoty, a szabla twoja oby wielkie spełniała czyny. Jedno mnie tylko dziwi, że nie jesteś Kalifem, ty nim bowiem być powinien!

To rzekłszy, spojrzął na przyjaciela swego tak jak się patrzy na zgniłe jajo, albo na glistę, alb też na padlinę. Ów zasię, Mohammedem nazwan, napluł na tamtego w głębi przepaścistej myśli, kopnął go tajemnie w sam środek brzucha, a, pomyślawszy, że szakalby nie tknął nawet tego zbója, ta strasznie go czuć złodziejem, szedł powoli i z powagą, po rajskiej łące swojej duszy .i zrywał kwiaty słów z których każde miało woń kadzidla. Oto mu rzekł:

— Gdyby Aladyn wszedł do twojego serca zdumiałby się, ujrzawszy w niem takie skarby jakich nie ma stu sułtanów na ziemi. Wiem, że cię zato Allah miłuje, rzekł bowiem dziś w nocy dc Proroka: “Powiedz mi, czy to słońce upadło na zit mię, czy też to Abdul Azis po niej chodzi?” Niech ci zato da dwa razy więcej lat życia, niżli ja ci życzę, przyjacielu mój, którego miłuję. Powiedziałem.

Potem, usiadłszy naprzeciwko siebie, patrzyli sobie długo w oczy, a każdy z nich wiedział, co wiedział.

Kiedy zaś minęła długa chwila, o kulach chodząc, rzekł Mohammed, jakby nie wiedząc, jak się rzecz ma:

— Czy na drugim wielbłądzie przybył z tobą anioł Gabrjel?

— Jest to córka moja — odrzekł skromnie Abdul Azis — która ciebie miłuje, o czem wiem pewnie. Ty mi zaś powiedz, kto jest ten człowiek, który nie patrzy na nas, tylko na twojego konia. Czy nie mniemasz, że ci go urzeknie, twój koń zaś i bez tego nie jest tak zdrów jakby się tobie mogło wydawać.

Mohammed poczerwieniał i odrzekł powoli:

— Jest to człowiek, który wyciąga wiadra z wodą, a jest tak roztropny, że woli patrzeć na mojego konia, niż na twoją córkę.

— Jeśli jest tak roztropny, tedy mu łatwo wypłynąć może oko, jeśli się do niego przybliżę.

— Abdulu Azisie, ten człowiek jest tak mądry, że woli mieć tylko jedno oko, aby nie widzieć dwoma, iż córce twojej brakuje siedmiu zębów na samym przedzie.

W tamtym zapiekła się odrazu wątroba i nieco się w nim rozlało żółci, nie dał tego jednak poznać po sobie, lecz nawet się uśmiechnął, owym uśmiechem, którym człowiek uśmiecha się, na pół już oszalały i rzekł:

— Wiem, że lubisz żartować, bracie mój — och, jakżem się uśmiał! Byłbym wśród śmiechu zapomniał ci powiedzieć, że minister Al Mahara daje mi za nią trzydzieści wielbłądów i sześć razy po sto baranów.

— A czyś ty nie poszedł do Kalifa? Poco?

— Aby mu powiedzieć, że jego minister zwarzjował... A jeśli nie, dlaczegoś nie wziął tego, co oj dawał?

— Chcę bowiem mieć twego konia, który ogon ma bardzo piękny. Wszystko inne jest u niego zwyczajne i bez ceny; chcę jednak postąpić z tobą, jak brat i dlatego pytam się ciebie wyraźnie, czy mi dasz konia za córkę, aby ci służyła przez tysiąc lat?

Mohammed nie odrzekł ani słowa, lecz, powstawszy z godnością, zbliżył się do niewiasty, a otworzywszy jej rękami usta, począł pilnie liczyć jej zęby, poczem, ująwszy w palce kosmyk włosów, próbował ich miękkości, jak się próbuje jedwabi w bazarze bagdadzkim. Coraz mu się bardziej wydłużała obleśna twarz, zaczem dotknął rękoma jej piersi, obejrzał ręce, poczem, poza nią stanąwszy, mierzył starannie położenie łopatek, zaś nakoniec, nieskromnie czyniąc, badał wszelką na jej postaci wypukłość. Kiedy to uczynił, usiadł znów spokojnie i rzekł jedno tylko słowo:

— Nie dam!

Abdul Azis pchnął go w tej chwili oczyma, jak kindżalem, i — uśmiechnął się.

— Czego tedy chcesz za konia?

— Najpierw twojej córki.

— Już ci ją dałem.

— Oba wielbłądy będą moje. — Hę?

— Dasz mi jeszcze tę szablę i dwa kindżały z damasceńskiej stali.

— Jak rzekłeś?

— Dasz mi dwa siodła, zaś co roku, aż do lat dziesięciu, dziesięć baranów, abym miał ją czem wyżywić, gdyż jest chuda.

Abdul Azis wyrócił białka oczu i zdawało się, że oszalał; dyszał tak ciężko, iż zdawało się,—jakoby z pustyni nadciągała burza, poczerń, oddechu nieco schwytawszy, poczerwieniał i rzekł, jakby przez łzy:

— Córka moja ma twarz słońca.

— Mój koń — odrzekł Mohammed — nie zakrywa twarzy.

— Miłuje ciebie, jak źrenice oka.

—— Zapytaj mojego konia, czy tego samego nie zdoła?

— Mohammedzie! widziałeś kiedy u kobiety nogi tak małe i tak piękne?

— Ma ich tylko dwie, mój zaś koń ma ich cztery.

— Bismillah! — jęknął Abdul Azis — ona ma głos podobny do głosu słowika.

Tedy chcesz mnie oszukać; mój koń nie mówi wcale, I to ci jeszcze powiem: nie będzie mi życzył śmierci, ani mnie nie zdradzi ani mnie nie przeklnie. Koń mój jest roztropny i nie trzeba mu adamaszku na szaty, ani sandałów, bakalji. Ani nie płacze, ani się śmieje. Czy widzisz, jak bardzo chciałeś mnie oszukać, wielki złodzieju, synu Ali Baby? Dasz wielbłądy, szablę, i siodła i barany?

— Nie dam! — ryknął Abdul Azis i, porwawszy się, chwycił swojego przyjaciela za rzadką brodę, ów zaś to samo uczynił, jeno łapczywiej, tak, iż się tarzać poczęli po ziemi, wyrrywając sobie włosy, dość sprawiedliwie i niemal w równej mierze. Krzyknęła niewiasta i przypadła do wielbłądów, oni zaś, niepomni na nic, trykali łbami o brzuchy, wyłamywali sobie ręce ze stawów i kasał się spróchniałymi zębami.

Kiedy ich wreszcie moce odeszły, odpadli jeden od drugiego, mocno dysząc i wyrzucając z ust słowa cuchnące i zgniłe. Aż im smagle nagle pobladły oblicza i rozszerzyły się źrenice.

— Co to jest? — jęknął Mohammed. Abdul Azis patrzył długo, wreszcie, pojawiwszy, krzyczał strasznie:

Ów człowiek, wiadra ciągnący, porwał konia, wielbłądy i córkę moja i ucieka!...

Allah Rossoulah!

Mohammed porwał się z ziemi i, chwyciwszy się obiema rękami za głowę, trząśł nią, jak kamieniem, przyjaciel zaś jego patrzył długo za zbiegiem, wreszcie rzekł słodko:

— Rzekłeś, Mohammedzie, to jest człowiek roztropny... Lecz co to jest?

Spojrzał i Mohammed. Oto ów człek zatrzymał się w oddali, pogoni się nie bojąc, poczem podniósł powoli zasłonę z twarzy córki Abdul Azisa; i można było widzieć z oddalenia,

że nagle, jakby piorun w niego trzasnął: chwyciwszy ją za ramiona, zszedł z wielbłąda i sam pognął jak wicher, ona zaś z wielkim płaczem wracała na łono swojego ojca, któremu oczy wylazły nawierzch z rozpacz.

Spojrzał na niego Mohammed i powiada:

— Rzekłeś, iż to jest człowiek roztropny? Ja ci mówię, iż to jest mędrzec, złodzieju ty, synu i wnuku złodzieja...